

Gazeta Sremska

5-6/2017
ISSN 1231-7478
dwumiesięcznik
maj/czerwiec
rok XXVII
cena 5 zł



3/06/2017

KULTURALNA NOĆ



ZNAJDŹ SWOJE MIEJSCE W BIBLIOTECE

Biblioteka

Publiczna im. H. Święcickiego
w Śremie

16.30
ULUBIONY WERSZ AGNIESZKI FRĄCZEK

LOSOWANIE NAGRÓD

16.45
WIECZÓR CYGAŃSKI

EDWARD DĘBICKI I AKTORZY CYGAŃSKIEGO ZESPOŁU TERNO
(MUZYKA, TANIEC, BAJKI, FILM DOKUMENTALNY)

17.30
MAŁE ZBRODNIENIE MAŁŻEŃSKIE

WYJAZD DO TEATRU MIEJSKIEGO W LESZNIE

16.00-22.00
CZYNNE WSZYSTKIE DZIAŁY I PRACOWNIE

GRY PLANSZOWE

Klub Miłośników Gier Planszowych

BIBLIOTEKA W ETERZE

Klub Krótkofalowców SP3PKC "LAMBDA"

PREZENTACJA ZASOBÓW PLATFORM CYFROWYCH

EKSPOZYCJA ARCHIWALNYCH

CZASOPISM I KSIĄŻEK

WYSTAWA AFISZY ZE ZBIORÓW BIBLIOTEKI

ANDRZEJ WALTER - KOLORY GRECJI

WYSTAWA FOTOGRAFICZNA

nie spać! zwiedzać!

MUZEUM
Ś R E M S K I E

19.00
BUHL/GWINCIŃSKI/MAJEWSKI/OSTROWSKI
KONCERT

19.42
PIĄTKA ZE SZTUKI WERNISAZ
BARBARA MARSAŁEK, GRZEGORZ MARSAŁEK,
ZOFIA WOLNA, JACEK WOLNY, URSZULA BRYLEWSKA-ŁUKOMSKA

20.14
TECHNIKI W GRAFICE

20.46
PLAKAT POLSKI

21.18
CYKLE W MALARSTWIE

21.51
BUHL/GWINCIŃSKI/MAJEWSKI/OSTROWSKI
KONCERT

WYSTAWY STAŁE:

JERZY JURGA KUSZE-OBRAZY-WARSZTAT

WIDEOKLIP DO HYMNU

SALON KOLEKCJONERA

MUZEUM UTRACONE PROJEKCJA FILMU



W numerze



Barbara Jahns – podziękowanie

Barbara Jahns, nasza redaktor prowadząca, definitywnie postanowiła przejść na emeryturę. Żegna się z nami, obdarzając wszystkich dobrym słowem – jak zawsze, jak to Basia. Nie, Basiu! To MY dziękujemy!

str. 02



„Inni”, czyli słów kilka o protestanckich ruchach religijnych. Część II

Często mówimy o otwartości Wielkopolski, w której, jeżeli ktoś nie miał złych zamiarów, mógł liczyć na gościnę i dobre miejsce na zapuszczenie korzeni. Rzeczywistość była jednak różna.

str. 10



AKT przedstawia Hamleta

Aktyw Frontu Narodowego we wsi Głucha Dolna zajął się zagadnieniem podnoszenia kultury. Najbardziej przypadł im do gustu pomysł jakiegoś przedstawienia w wykonaniu własnym...

str. 43

Spis treści

str. 02	Barbara Jahns – podziękowanie
str. 03	444 słowa redaktora naczelnego
str. 04	Głęboki oddech śremskiej kultury
str. 05	Wieści z ratusza
str. 08	Żyj kolorowo...
str. 10	„Inni”, czyli słów kilka o protestanckich ruchach religijnych. Część II
str. 13	Dolsk i gmina – 25 lat później
str. 16	Dalej były już tylko łąki i pola
str. 20	Jędrzej Daleki – pradziadek mojej Babci Anieli, żołnierz wojen napoleońskich. Część VIII
str. 25	Na pożegnanie

str. 28	O Ludziach, których spotkałem
str. 30	„Dzisiaj Gajos zatknął flagę”
str. 34	Tajemnica, miłość i skarb
str. 36	Kwestionariusz kultury
str. 38	Nasz talent: Jan Mazurczak
str. 40	Martwe wody
str. 42	Dom – co to znaczy?
str. 43	AKT przedstawia Hamleta
str. 46	Klasycznie i śpiewnie
str. 48	5 ze sztuki
str. 50	Muzeum – wydarzenia
str. 52	ŚOK – wydarzenia
str. 56	Biblioteka – wydarzenia



W 1995 roku redaktor naczelny „Gazety Śremskiej” powierzył mi stanowisko redaktor prowadzącej. Nie ukrywam, że miałam sporo obaw, czy podołam. Było to duże wyzwanie, które realizowałam przy okazji pracy muzealnej. Zawsze z pasją i przyjemnością. Zastanawiałam się, kto będzie pisał w gazecie i dla jakiego czytelnika. Bardzo pomocne okazały się indywidualne kontakty muzealne. Docierałam do osób, którym bliska jest nasza Mała Ojczyzna, jej historia i teraźniejszość. Do osób, którym zależy na tym, by swoją wiedzę, pasję, wspomnieniami, zapisem kronikarskim, osobistym spojrzeniem na literaturę, film, sztukę, teatr czy poezję podzielić się z czytelnikami. Dzięki temu na łamach Gazety zapisane zostały wydarzenia historyczne, tradycje, postaci wydobyte ze wspomnień mieszkańców regionu śremskiego, życie kulturalne współczesnego Śremu.

Współpracujący z gazetą ludzie są po prostu twórcami lokalnej rzeczywistości. To dzięki Wam, Drodzy Autorzy, naszą Gazetę bierze się do ręki z prawdziwą przyjemnością.

Dziękuję Wszystkim piszącym za te 22 lata wspianej współpracy. Było dla mnie wielki zaszczyt pracować z Wami. Nadszedł czas, by przekazać pałeczkę. Życzę nowej redaktor prowadzącej, pani Ewie Nowak, by praca w gazecie i współpraca z piszącymi dostarczała ogromnej satysfakcji, a Czytelnikom radości z czytania gazety przy porannej kawie czy herbacie.

Dziękuję.

Barbara JAHNS

444 słowa redaktora naczelnego

W oglądanym niedawno przeze mnie powtórkowym telewizyjnym programie kabaretowym pojawił się zgrabnie skonstruowany ciąg żartów o góralach, który już samowolnie i bez udziału publiczności rozszerzam o ten najbardziej chyba klasyczny – bacia, jak maczas, to siedzi i myśli, a jak nie ma czasu, to sobie tylko siedzi. Ja mam od czasu do czasu chwilę czasu, więc tak sobie siadłem i pomyślałem i wymyśliłem, że są dwa podstawowe filary harmonijnego istnienia. Pierwszy: trzeba mieć szczęście, drugi: wszystko kiedyś się kończy (może poza geometrycznymi wyjątkami jak: kula i okrąg). Świadomość tego dogmatu gwarantuje spokój i brak rozczarowań.

Shczęście, to między innymi znaleźć się w odpowiednim miejscu w odpowiednim czasie. Basia Jahns stanęła w progu Naszego Muzeum, kiedy rozpoczynało swój instytucjonalny byt. W ratuszu, jeśli ktoś już tego nie pamięta. Z oczywistego powodu bezpośredniej nieznajomości tego okresu szybko przejdę do następnego etapu muzealnej egzystencji B. J., którego nie tylko byłem świadkiem, ale co najmniej katalizatorem, a może nawet akuszerem, żeby nie rzec twórcą. Przez ostatnie kilkadziesiąt lat byłem niemal codziennym obserwatorem wzajemnych, dobrych wpływów Basi na Muzeum i Muzeum na osobowość i wartość Basi. To był dla Niej ten odpowiedni czas i odpowiednie miejsce. Rób to, co lubisz, a nigdy nie będziesz musiał pracować. Basia stała się niewątpliwie twarzą Muzeum Śremskiego. O Muzeum zazdrosna mogła być nawet jej najbliższa rodzina.

W pewnym momencie uchyliłem muzealne wrota i pozwoliłem w muzealną rzeczywistość wślizgnąć się „Gazecie Śremskiej”. Podczas przechodzenia przez drzwi, pismo uległo totalnej prze-

mianie. Był taki okres, że wszystko opierało się na barkach nas dwojga, nauczyliśmy się wszystkiego, co trzeba, i robiliśmy wszystko, co trzeba, aby metamorfoza była udana. Każdy pionierski okres jest najpierw trudny, później piękny. Lata miały, doświadczenie redaktor prowadzącej rosło, na szczęście nie przekształcając się w rutynę, a wraz z nim samodzielność i kreatywność chętnie widziane przez szefa. Rosła rzesza fanów, którzy ulegli delikatnemu, jakże stabilizującemu złudzeniu zdefiniowanemu jako nierozłączność człowieka i instytucji, Barbary i Muzeum z Gazetą wtle.

Wszystko się jednak kiedyś kończy. Przykłady są bezwzględne i przytłaczające: Biblioteka Aleksandryjska spłonęła, Cesarstwo Rzymskie upadło, Trzecia Rzesza legła w gruzach, a Ludowe Chiny i Związek Radziecki porzuciły komunizm. Wszystko się kiedyś kończy! Co to ma wspólnego z Basią? Ano ma! Każdy z tych podmiotów i zjawisk miał swoich zagorzałych sympatyków, według których miał trwać, trwać i trwać. A tu niespodziewanie rozpoczęły się mniej lub bardziej spektakularne, mówiąc oględnie, zmiany finalne. Zamknięcie rozdziału jest wspólną cechą tych kilku opowieści. Teraz Twarz Muzeum postanowiła odpocząć. Nie powiem, że nagle i bez ostrzeżenia, boskłamałbym. Ale jako jeden z wielutych, którzy ulegli złudzeniu konieczności trwania B. J. w Muzeum, oczy mam wielkie ze zdumienia i łza się w nich kręci.

Mariusz KONDZIELA

Głęboki oddech śremskiej kultury

Każdy szanujący się region dba o przestrzeń historyczną – a gdzie najlepiej ją prezentować? Oczywiście w salach muzealnych. Jesteśmy po gruntownym remoncie bazowego budynku Muzeum, skorzystaliśmy z dotacji Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego na budowę budynku Galerii, a teraz czas na rozmach.

Trwająca modernizacja Muzeum Śremskiego ma spowodować podwyższenie atrakcyjności prezentacji kultury i historii naszego śremskiego regionu. Aby uatrakcyjnić nadwarciańską przestrzeń, muzealny ogród z pięknymi naturalnymi ścieżkami prowadzącymi do nadwarciańskiej promenady również objęty został programem przebudowy. Już we wrześniu br. podczas corocznego wydarzenia *Jak za dawnych lat...* na promenadzie, przy wejściu do muzealnego ogrodu, stanie rzeźba przedstawiająca postać Jerzego Jurgi. Przy ul. Promenada (zejście na promenadę od tzw. Klasztoru) do końca sierpnia, pojawią się nowa nawierzchnia i schody z poręczami. Aby uatrakcyjnić przestrzeń i możliwości Muzeum jako instytucji kultury powstał projekt *Modernizacja Muzeum Śremskiego poprzez rozbudowę budynku muzeum o pawilon wystawowy i salę widowiskową oraz utworzenie nowoczesnej multimedialnej interaktywnej ekspozycji stałej*. Całkowita wartość projektu to blisko 7,9 mln złotych. To duża kwota, ale dokładne rozeznanie możliwości pozyskania środków ze źródeł zewnętrznych, a szczególnie z europejskich projektów, stworzyły perspektywę realizacyjną. Dzięki przynależności Śreму do Stowarzyszenia Metropolia Poznań powstała możliwość ubiegania się o środki w ramach Zintegrowanych Inwestycji Terytorialnych Miejskiego Obszaru Funkcjonalnego Poznania (Działanie 4.4 Zachowanie, ochro-

na, promowanie i rozwój dziedzictwa naturalnego i kulturowego. Poddziałanie 4.4.3 Zachowanie, ochrona, promowanie i rozwój dziedzictwa naturalnego i kulturowego w ramach ZIT dla MOF Poznania). Projekt zakłada dobudowę przeszklonego pawilonu do tradycyjnego budynku muzeum oraz budowę sali widowiskowej na blisko 300 widzów. Karkołomna procedura oceny formalnej i merytorycznej sytuuje nasz projekt na liście rankingowej na miejscu, które gwarantuje pozyskanie dotacji w wysokości ponad 6,7 mln złotych. Jesteśmy blisko, a realizacja? Inwestycja musi być gotowa, rozliczona do końca października 2018 roku.

Adam LEWANDOWSKI
Burmistrz Śreму



Wieści z ratusza

TERMOMODERNIZACJA SZKOŁY W NOCHOWIE

Od 8 marca do 30 września br. trwa termomodernizacja Zespołu Szkoły Podstawowej i Gimnazjum im. hrabiego Władysława Zamoyskiego w Nochowie.

Kompleks budynków szkolnych w Nochowie obejmuje dwa segmenty: dwukondygnacyjny budynek oświatowy z 1971 r. wraz z częścią wybudowaną w latach 1989-1996 r. i salą sportową, oraz dawny budynek szkolny z 1902 r. Prowadzony zakres robót nie narusza układu konstrukcyjnego budynków, zmieniony zostanie wygląd elewacji. W najstarszym budynku zostanie wymieniona część więźby dachowej oraz dachówka ceramiczna. Roboty remontowe mają na celu likwidację wad technologicznych powodujących, szczególnie w okresie zimowym, przemarzanie ścian oraz nieszczelności stolarki zewnętrznej. Przedmiotem realizowanej inwestycji jest ocieplenie ścian zewnętrznych, remont cokołów oraz wykończenie elewacji tynkiem mineralnym. Docieplone zostaną wszystkie powierzchnie dachowe. Wymienione zostaną okna oraz drzwi zewnętrzne.

Zmodernizowana zostanie cała instalacja centralnego ogrzewania wraz z kotłownią gazową.

Przeprowadzone prace remontowe pozwolą zmniejszyć zużycie energii niezbędnej do ogrzewania całego kompleksu szkolnego. Ponadto na dachu szkoły zostaną zamontowane panele fotowoltaiczne oraz wymienione zostaną oprawy oświetleniowe.

Łączna kwota na termomodernizację Zespołu Szkoły Podstawowej i Gimnazjum w Nochowie wynosi 1.920.522,26 zł, z czego 1.632.443,92 zł

stanowi dofinansowanie ze środków Unii Europejskiej w ramach Wielkopolskiego Regionalnego Programu Operacyjnego na lata 2014-2020.

MIESKIE WYPOŻYCZALNIE ROWERÓW

1 maja ponownie rozpoczęła działalność Miejska Wypożyczalnia Rowerów w Śremie na promenadzie nad Wartą. Od 4 maja 2017 r. czynna jest wypożyczalnia przy ul. Grunwaldzkiej, obok budynku Biblioteki Publicznej. Korzystanie z wypożyczalni jest bezpłatne. Wypożyczający mają do dyspozycji: 20 rowerów, 2 foteliki rowerowe, 4 wózki drewniane do ciągnięcia oraz 3 dziecięce wózki biegowe. Miejskie Wypożyczalnie Rowerów czynne będą do października z wyjątkiem świąt: 15 czerwca oraz 15 sierpnia.

Rozpoczęcie funkcjonowania wypożyczalni przy promenadzie połączono z akcją znakowania rowerów przez Straż Miejską w Śremie. Zachęcamy do znakowania rowerów – wpis do rejestru Straży Miejskiej może zapobiec kradzieży.

Wypożyczalnie prowadzi Ośrodek Pomocy Społecznej, a ich funkcjonowanie wpisuje się w kampanię Rowerowy Śrem.

Wypożyczalnia rowerów nad Wartą w Śremie



MISTRZYNI EUROPY W RATUSZU

Burmistrz Śremu Adam Lewandowski gościł w ratuszu Patrycję Wyciszkievicz, złotą medalistkę kobiecej sztafety 4 x 400 m 34. Halowych Mistrzostw Europy w Lekkoatletyce. W mistrzostwach, które odbyły się w dniach 3-5 marca 2017 w Belgradzie, polska sztafeta kobiet wywalczyła złoty medal. W historii polskiej lekkoatletyki jest to pierwszy złoty medal zdobyty w biegu sztafetowym w halowych mistrzostwach Europy.

Burmistrz Śremu pogratulował Patrycji Wyciszkievicz wielkiego sukcesu, który wpisał się do największych osiągnięć śremian. Na pamiątkę mistrzyni otrzymała koszulkę oraz zegarek z inskrypcją. Obecnie Patrycja Wyciszkievicz jest zawodniczką Akademickiego Związku Sportowego w Poznaniu oraz studentką Uniwersytetu Ekonomicznego w Poznaniu.

Reprezentacja Polski w Mistrzostwach Europy w Belgradzie zdobyła łącznie 12 medali, w tym 7 złotych. Polacy byli liderami w ogólnej klasyfikacji medalowej przed zawodnikami z Wielkiej Brytanii oraz Niemiec.

ŚWIATOWY DZIEŃ ZIEMI

22 kwietnia miliony ludzi na całym świecie będą świętować Dzień Ziemi. Idea troski o niebieską planetę łączy ludzi niezależnie od narodowości, wyznania, zawodu czy wieku. Obecnie jest to największe ekologiczne święto świata organizowane w 192 krajach.

Idea obchodów Dnia Ziemi w tym dniu została zapoczątkowana w 1970 r. przez amerykańskiego senatora Gaylorda Nelsona. Wiele krajów obchodzi Dzień Ziemi zgodnie z proklamacją ONZ w dniu równonocy wiosennej, która przypada 20 lub 21 marca. Dodatkowo ONZ wyznaczyło datę 22 kwietnia jako Międzynarodowy Dzień Matki Ziemi.

Od 1990 roku Dzień Ziemi obchodzony jest również w Polsce. Głównym zadaniem święta jest przybliżenie społeczeństwu problemów związanych ze współczesną ekologią, upowszechnianie czystych technologii, szeroko pojęta edukacja w zakresie ochrony środowiska i propagowanie idei zrównoważonego rozwoju. Jest to również doskonała okazja do przedstawienia szerokiej liczbie odbiorców zagrożeń planety oraz dyskusji o zależnościach pomiędzy ochroną środowiska naturalnego, a zdrowiem i życiem mieszkańców.

Hasło tegorocznych obchodów:
„W kierunku natury”.

Tradycyjnie w ramach obchodów Dnia Ziemi, na terenie gminy Śrem organizowana jest akcja Sprzątanie Świata, w której biorą udział przede wszystkim dzieci i młodzież z gminnych placówek oświatowych. W tym roku akcja prowadzona jest w dniach od 19 kwietnia do 8 maja.

Światowy Dzień Ziemi



Sprzątanie Świata
19 kwietnia - 8 maja

Co każdy z nas może zrobić dla Ziemi?

- Zasadzić drzewo lub krzew.
- Zbierać makulaturę, szkło, puszki, baterie.
- Segregować odpady.
- Pozbierać śmieci w swojej okolicy.
- Oszczędzać wodę, gaz, energię elektryczną.

**Każdy z nas jest mieszkańcem tej planety,
dlatego każdy z nas powinien
czuć się odpowiedzialny za jej stan!**



BUDŻET OBYWATELSKI ŚREM 2018



BUDŻET OBYWATELSKI ŚREM 2018

Rusza trzecia edycja Budżetu Obywatelskiego Śremu. Budżet Obywatelski to wydzielona część środków finansowych budżetu gminy Śrem, o wydatkowaniu której, w sposób wiążący, decydują mieszkańcy gminy Śrem wskutek głosowania. Budżet Obywatelski Śremu to możliwość realizacji własnych pomysłów i zmiana okolicy.

W tym roku pula środków finansowych na realizację projektów zgłoszonych przez mieszkańców wynosi 700 000 zł w podziale na kategorie:

- projekty ogólnogminne – 350 000 zł
- projekty lokalne miejskie – 175 000 zł
- projekty lokalne wiejskie – 175 000 zł.

W tej edycji BO, zgodnie z uchwałą Rady Miejskiej w Śremie, nastąpiła znacząca zmiana. Wnioski można składać wyłącznie elektronicznie poprzez dedykowaną platformę.

Wszelkie informacje na temat całego procesu, mapa nieruchomości gminnych, przykładowe wyceny znajdują się na stronie budzetobywatelski.srem.pl. Również tutaj można zalogować się do systemu i już teraz przygotowywać sobie projekt w wersji roboczej.

Termin składania projektów wyznaczono na czerwiec br. (od 1 do 30 czerwca). Okres wakacyjny będzie czasem weryfikacji projektów, a głosowanie mieszkańców odbędzie się we wrześniu.

Pomysły, które zwyciężyły w ubiegłorocznej edycji, są już realizowane: pumtrack w Parku Śremskich Odlewników oraz miasteczka rowerowe: przy Szkole Podstawowej Nr 1 w Śremie oraz w Nochowie.

Zachęcamy do składania wniosków, wdrażania w życie własnych pomysłów na Śrem oraz upiększanie swojego otoczenia. Każda osoba i każdy głos mają znaczenie!

Żyj kolorowo...

Warto przypomnieć

Bo przecież jest
nie jeden szlak
gdzie trudniej iść
lecz idąc tak
nie musisz brnąć
w pochlebstwa dym
i karku giąć
przed byle kim
[...]

Tak pisał **Wojciech Młynarski** w tekście *Idź swoją drogą*. Ktoś zapytał: czy mamy wybór? Zawsze mamy, a konformistyczna postawa nie jest jedyną formą zachowania. Trzeba mieć odwagę mówienia z przekonaniem, bez względu na sytuację i bez względu na okoliczności. Utwory Młynarskiego przepełnione są obserwacją rzeczywistości, czasami gorzką w odbiorze, czasem sarkastyczną i polemiczną. Zostawił pokaźny zestaw utworów, a więc śmiało można go nazwać poetą, twórcą literackim, pieśniarzem, satyrykiem. Listę jego tekstów można by wydłużać niemal bez końca. Napisał ich ponad dwa tysiące, a przecież nie tylko do tego go sprowadzała się jego twórczość.

Wojciech Młynarski urodził się 26 marca 1941 r. w Warszawie. Był dwukrotnie żonaty. Jego pierwsze małżeństwo, z aktorką Adrianną Godlewską, rozpadło się po 29 latach, a jego owocem są córki Agata i Paulina oraz syn Jan. Drugą żoną artysty była Jadwiga Młynarska. „Moje drugie małżeństwo trwało rok. Jestem ciężkim partnerem w życiu codziennym” – uciął temat.

Debiutował na początku lat 60. w klubie studenckim Hybrydy. Jednym z największych przebojów Młynarskiego było *Jesteśmy na czasach* z 1966 roku. „Nienawidziłem tej piosenki, bo gdziekol-

wiek się pojawiłem, to musiałem ją śpiewać” – przyznawał. „Myślałem: Boże kochany, cokolwiek bym napisał, to już tego nie przeskoczę”. Niektóre piosenki pisał długo, odkładał na półkę, a potem do nich wracał, inne potrafił napisać w zaskakująco szybkim tempie. Tak było na przykład z *Wszystko mi mówi, że mnie ktoś pokocha*, którą stworzył dla Skaldów w zaledwie... dwadzieścia minut. Przekonywał, że sam pomyślał piosenkę to za mało. „Najważniejsze mieć to, czym wypełnić, myśląc puentą. Piszę pod puentę. Nie wiem, jak to po drodze będzie, ale wiem, jak to się skończy. Mam taką zasadę, że piosenkę piszę od końca” – mówił w marcu 2015 roku „Gazecie Wyborczej”. „To znaczy, wiem, jak się powinna rozpocząć, nie wiem, co będzie w środku i wiem, że końcówka powinna wyskoczyć jak diabeł z pudełka. A sama robota jest żmudna i długa, o czym nie każdy dziś pamięta. Teksty różnych najmłodszych autorów nie sprawiają wrażenia, jakby były specjalnie domyślane; raczej nie są”.

(tekst onet.pl – Paweł Piotrowicz)

Młynarski lubił opowiadać o swoich piosenkach, o roli kultury we współczesnym świecie, ale już mniej o sobie i o swoich sprawach osobistych. Zapytany kilka lat temu z okazji kolejnych urodzin, czy jest zadowolony z życia, odparł: „Człowiek nigdy nie jest zadowolony, ale uważam, że tak źle nie było!”.

„Staram się specjalnie nie przejmować upływającym czasem, ale kalendarz pokazuje to, co pokazuje. Najważniejsze, żeby było zdrowie i żeby można było jeszcze napisać coś, co się ludziom spodoba. Emerytura? Ciągłe mam ochotę pisać, a emerytura w takich zawodach jak mój nie istnieje” – mówił kilka lat temu.

„Nie mówię, że się nie boję, tylko żeby lepiej się nie bać” – przyznawał w rozmowie z „Gazetą Wyborczą”. „Nie chcę tego specjalnie rozbudowywać, ale skoro mówimy o śmierci, nie chciałbym, żeby ona się stała jakąś opresją dla ludzi, dla świata, który mnie otacza”. W książce Dariusza Michalskiego *Dookoła Wojtek. Opowieść o Wojciechu Młynarskim* wyznał, że w 1972 roku, podczas pracy nad librettem opery *Henryk VI na łowach* stwierdził u siebie objawy, które potem zdiagnozowano jako chorobę maniako-depresyjną.

Twórczość Wojciecha Młynarskiego do samego końca zachowała uniwersalny i bardzo człowieczy charakter. Nie ukrywał, że ludzi, pomimo ich wad, bardzo lubił. „Tak ogólnie patrząc, generalnie, trzeba zakładać, że ludzie są w porządku” – przekonywał na antenie Polskiego Radia. „Trzeba mieć do nich stosunek ciepły i wyrozumiały. Czasami zdarzają się oczywiście jakieś odchyły”. Jak przyznawał w marcu 2015 roku w rozmowie z „Gazetą Wyborczą”, najgorszą rzeczą dla człowieka, zwłaszcza piszącego, jest samotność. „To chociażby brak okazji do wymieniania się swoimi opiniami albo po prostu do tego, że jak się coś napisze, ma się to w brudnopisie ledwo gotowe, to się leci i temu drugiemu człowiekowi czyta”.

W ostatnich dwóch latach borykał się z poważnymi problemami zdrowotnymi, a wiosną 2014 roku przeszedł operację serca.

Ukochanym miejscem Wojciecha Młynarskiego była scena Teatru Ateneum w Warszawie, na której koncertował, a także realizował programy autorskie poświęcone innym wybitnym artystom i twórcom. Ostatnią przygotowaną przez niego premierą był jednak spektakl w Teatrze 6. piętro,

w marcu 2015, *Młynarski obowiązkowo*, stanowiący wyśpiewaną autobiografię. W maju 2015 r., tuż przed wyborami prezydenckimi, opublikował wiersz *Licząc na cud*. Trzy pierwsze zwrotki brzmią:

Nienormalni i normalni,
skołowany polski ludu,
Rodacy nieobliczalni,
żyjący w krainie cudów.

Nowa czeka nas atrakcja,
którą tak bym zdefiniował,
szykuje się demokracja
policyjno-wyznaniowa.

Na nowego Prezydenta,
co podkreślam w tym wierszyku,
będzie wpływać Trójca Święta,
ustami swych urzędników.

Jego piosenki często nazywano śpiewanymi felietonami. „Poetą piosenki był w moim mniemaniu Jonasz Kofta” – dodawał w programie „Rozmowy poszczególnie”.

Wojciech Młynarski odszedł 15 marca 2017 roku.

Opracował
Adam LEWANDOWSKI

W artykule wykorzystano fragmenty tekstu Pawła Piotrowicza, dziennikarza muzycznego i filmowego, jak również teksty dotyczące życia i twórczości Wojciecha Młynarskiego z „Gazety Wyborczej”.

„Inni”, czyli kilka słów o protestanckich ruchach religijnych cz. II

Opowieść o różnorodności mieszkańców Wielkopolski dotyka zagadnień, które często odkrywają, ku swojemu zdumieniu, wszyscy ci, którzy zaczynają poszukiwania historii swoich rodzin. Jakże często na różnych gałęziach drzewa genealogicznego wpisujemy obco brzmiące nazwiska, a głębsze poszukiwania dostarczają wielokrotnie powtarzających się historii. Mieszane małżeństwa łączące różne wyznania i narodowości świadczyły o długich, historycznych okresach, gdy miejsce zamieszkania – wspólna okolica, szkoła, towarzystwo, przyjaźnie i lokalna społeczność – tworzyła i definiowała ludzkie relacje. W wielu wielkopolskich rodzinach żartobliwie mówiono, że upadłe szlachcianki i bogate mieszcanki wychodziły za mąż za zaradnych Niemców, Szkotów, Olędrów, Czechów. Jakżeż często spotykamy relacje o tym jak to polscy kawalerowie przywozili swe przyszłe żony z wyjazdów, gdy kształcili się lub pracowali w Berlinie, Lipsku czy Monachium.

Często mówimy o otwartości Wielkopolski, w której, jeżeli ktoś nie miał złych zamiarów, mógł liczyć na gościnę i dobre miejsce na zapuszczenie korzeni. Rzeczywistość była jednak różna, zależna od okresu – przecież przez te terytoria przewalały się konflikty, wojny, które zawsze rujnują, burzą także te delikatne więzy międzyludzkie. To prawda, że w czasach Zygmunta Augusta doby Jagiellonów, Rzeczypospolita była wzorem budowania wielonarodowego i wielowyznaniowego państwa a jego stwierdzenie, że nie jest królem ludzkich sumień, stało się na jakiś czas symbolem. Uchwalona w 1573 roku konfederacja warszawska gwarantowała bezwarunkowy i wieczny pokój między wszystkimi różniącymi się w wierze, i zapewniała innowiercom równouprawnienie z katolikami. Jednak tak otwarty klimat nie trwał zbyt

długo i jak pisze Marek Rezler – już po śmierci Władysława IV (1648r.) Polska już niewiele różniła się od innych krajów Europy, a zamieszkiwanie religijnym stały się także zjawiskiem obserwowanym w wielu polskich miastach.¹

Kolejna historia o wielkopolskiej różnorodności trafia na czas upamiętniania 500. rocznicy ogłoszenia 95 tez, które Marcin Luter przybił w 1517 roku do drzwi kościoła zamkowego w Wittenberdze, rozpoczynając czas reformacji europejskiej, z której w kolejnych latach powstawały niezależne od papieża Kościoły ewangeliczne. Reformacja była zarówno procesem odnowy, jak i podziału między chrześcijanami w Europie – podziałów, które w wielu krajach zachodniej Europy doprowadziły do bardzo krwawych konfliktów i wojen religijnych. Warto jednak dodać, że w krajach, do których dotarła reformacja, dzięki wynalazkowi druku, nastąpił niespotykany dotąd rozwój: kultury, piśmiennictwa w językach ojczystych, muzyki i wielu innych aspektów społecznych. Nowe poglądy docierają do Wielkopolski już po kilku latach od słynnego wystąpienia Lutra przy niebagatelnym udziale polskich elit. Pisaliśmy o tych początkach w pierwszej części szerzej przedstawiając rolę braci czeskich i postaci Jana Amosa Komeńskiego w wielokulturowym Lesznie.

Zatrzymajmy się na chwilę w pobliskim Śmiglu – małym i urokliwym miasteczku, do którego dotarły europejskie prądy protestu nawet wcześniej niż słynne wystąpienie Marcina Lutra. Było to związane z odgłosami protestu Jana Husa i jego zwolenników w Czechach, którzy dokładnie 100 lat wcześniej niż Luter (w 1417 roku), ogłosili swój protest, w którym domagali się m.in. sekularyzacji dóbr kościelnych i komunii pod dwiema postacia-



mi. Itak, jak w 1473 r. trzech rolników z pobliskiego Czacza zakwestionowało rzymskokatolicką naukę o Wieczery Pańskiej, o czym powiadomiono biskupa w Poznaniu. Także okoliczni właściciele ziemscy między innymi: Stanisław Krzysztof z Wołkowa oraz Przeclaw z Lubiechowa (koło Wielichowa) byli gorącymi zwolennikami husytyzmu. Głosy protestów ogarnęły coraz szersze środowiska i Śmigiel wraz z okolicami stał się ważnym ośrodkiem reformacji w Wielkopolsce. To małe, wielkopolskie miasteczko stało się także dogodnym miejscem osiedlania się Arian – braci polskich nazywanych także socynianami, antytrynitarzami. Była to wspólnota religijna, która wyodrębniła się w latach 1562–1565 z polskiego Kościoła Ewangelicko-Reformowanego (kalwinizmu), stanowiąca najbardziej radykalny odłam reformacji w Polsce (wyznanie negujące istnienie Trójcy).

W XVI wieku Śmigiel należał do luterzańskich rodzin: Śmigielskich, Rozdrażewskich oraz Cikowskich. Do miasta sprowadzono luterńskiego

kaznodzieję i wybudowano mały kościół, który stanął na przedmieściu. Z czasem Jan Cikowski przeszedł na arianizm i za sprawą głoszenia nowych idei przez Jana Krotowicza, a przede wszystkim przybyłego z Heidelbergu diakona Adama Neusera, do arianizmu przyłączyła się większość luteran – mieszkańców pochodzenia niemieckiego jak i Polaków. Po śmierci Jana Cikowskiego miasto zostało zakupione przez Andrzeja Dudycza (Andreas Dudith). Przed przybyciem do Śmigla był biskupem na Węgrzech. Po zerwaniu z kościołem luterzańskim, otrzymał od króla zgodę na osiedlenie się w Śmiglu oraz pozwolenie na budowę szkoły ariańskiej. W 1584 r. zbudował na rynku szkołę ariańską, która stała się bardzo popularna, ustępując jedynie późniejszej Akademii Rakowskiej.²

Kolejną znaczącą postacią w ariańskim Śmiglu był wielkopoleśnianin Eliaż Arciszewski – od 1589 roku właściciel Rogalina i Śmigla – wybitny teolog i pastor ariański. Arciszewski był patronem gminy arian i przejściowo pełnił również funkcję jej

ministra. Gmina składała się głównie z mieszczan i niewielkiej liczby szlachty, którzy wyznawali hasła radykalnego nurtu ariańskiego. Przybywali do niej wybitni działacze ariańscy i teologowie polscy oraz niemieccy. Miały tu miejsce synody np. ogólnopolski synod ariański w 1594 r. i dysputy ministrów z przeciwnikami, głównie jezuitami poznańskimi. Arciszewski był gorącym zwolennikiem Socyna i pozostawał z nim w stałym kontakcie. Hojniełożył w Śmiglu na zbór i znaną z wysokiego poziomu nauczania szkołę, która niestety od 1600 roku zaczyna tracić swoją pozycję. Po 1600 r. wybitniejsi działacze przenieśli się do Rakowa, a Eliaszwizabrakłośrodków na dalsze popieranie ruchu ariańskiego. Stopniowo w latach 1608–1618 utraciłcały swój majątek poczym przeniósł się do Nietążkowa, gdzie pełnił rolę patrona i kaznodziei. Zmarłokoło 1630 roku.

Okres świetności ariańskiego Śmigła skończył się z przejściem miasta w ręce właścicieli katolickich i stopniowego zmniejszania się ariańskiej społeczności. Budynek kościoła spłonął i po 1634 r. już go nie odbudowano. Dla wielu arian stało się to

powodem do przejścia do kościoła luterńskiego. Także w okresie potopu szwedzkiego oskarżano ich dość powszechnie o sprzyjanie Szwedom, i na mocy ustawy sejmowej z 1658 r. zostali zobowiązani do przejścia na katolicyzm lub opuszczenia kraju. W konsekwencji zostali wygnani z Polski.

W Śmiglu pozostała duża gmina luteran oraz późniejszych ewangelików. Spalony kościół luterński odbudowano w nowym miejscu w 1644 r., jednak i on w 1814 r. spłonął kolejny raz. Od tego czasu nabożeństwa odprawiane były w ujeżdżalni ale dzięki pomocy udzielonej parafii ewangelickiej 10 listopada 1830 r., poświęcono nowy kościół. Na początku XX w. ewangelicka parafia śmigielska liczyła 2300 wiernych. Po społeczności protestantów w Śmiglu pozostał cmentarz. Znajduje się na jego terenie, remontowana obecnie, kaplica cmentarna oraz wiele płyt nagrobnych wmurowanych w ogrodzenie okalające teren nekropolii. Cmentarz znajduje się na wzniesieniu – w pięknym miejscu miasta, z którego roztacza się atrakcyjny widok okolic. Między innymi na staw, w którym, według tradycji, arianie dokonywali chrztów dorosłych.



Witold PRZEWOŹNY
Foto: ze zbiorów autora

¹ M. Rezler, Dwaj innowiercy z Leszna [w:] Monitor Wielkopolski, Dodatek do Gazety Wyborczej, 1.09.2016, s. 10

² http://www.smigiel.pl/Ewangelicki_Smigiel.html, artykuł Marcina Błaskowskiego zamieszczony w Ekumenicznej Agencji Informacyjnej, październik 2004 r.

Dolsk i gmina – 25 lat później

Już na wstępie jestem Państwu winien wytłumaczenie takiego tytułu. Przez ponad 20 lat związany byłem z gminą Dolsk, swoim miejscem pracy. Większość tego czasu pracowałem w szkole w Masłowie, mając kilka innych epizodów. W 1992 roku zmieniłem miejsce pracy – przeniósłem się do Śremu. Od tego momentu mój kontakt z gminą Dolsk był sporadyczny, opierał się na rzadkich pobytach na terenie gminy i wiadomościach medialnych oraz spotkaniach z ludźmi.

Gminę Dolsk darzę olbrzymim sentymentem, myślę, że zostawiłem w niej część siebie i mimo upływu lat jest mi szczególnie bliska. Dla mnie Dolsk i okolice to jedno z najpiękniejszych miejsc do zamieszkania i pobytu oraz zwiedzania.

W miesiącu marcu miałem przyjemność przebywać w Dolsku, spotkałem się z panem burmistrzem Henrykiem Litką, i dzięki jego uprzejmości mogłem zobaczyć jak ta gmina wygląda dzisiaj. Tymi wrażeniami, człowieka kiedyś związanego z gminą, a dzisiaj patrzącego na nią z boku, chciałem się z Państwem podzielić.

Pierwsze, co rzuca się w oczy, to rynek, z którego dolszczanie mogą być dumni. Wspaniale zagospodarowany, odnowione pięknie domy, prawdziwa wizytówka miasta. Nawet ratusz, o którym różnie mówiono, gdy był budowany, wspaniale wkomponowuje się w całość zabudowy. Uważam, że wiele miast i miasteczek może Dolskowi takiego rynku pozazdrościć.

Rynek w Dolsku





Izba Regionalna w Dolsku

W ratuszu może zaimponować Izba Regionalna – pamiętam jej początki, przez lata zebrano wspaniałe zbiory mówiące o historii Dolska. Tak obszerne zbiory dobrze świadczą o mieszkańcach miasta, gdyż bez ich udziału nie udało by się zebrać tak wspaniałych eksponatów.

Sam Dolsk jest miastem zadbanym, imponuje miejska plaża z pomostem, ładne i funkcjonalne obiekty, widać uporządkowany park i utwardzone pole kampingowe. Jak stwierdził burmistrz, następuje szybka rozbudowa miasta, oprócz centrum, osiedla Jaskółki, powstaje zupełnie nowe osiedle domków jednorodzinnych na Podrzekcie. Sprzedano tam ponad 100 działek, które są położone w bardzo atrakcyjnej okolicy, następne osiedle to ulica Polna. Nowe osiedla nie naruszają historycznej struktury Dolska, równocześnie są ładnie wkomponowane we wspaniałe tereny.

Dla osoby z zewnątrz widoczna jest w Dolsku obecność firmy Mróz S.A. Nie chodzi mi o działalność typowo gospodarczą, lecz o inwestycje o charakterze turystycznym – powstał nowoczesny ośrodek konferencyjno-wypoczynkowy „Villa Natura”. Mnie zaimponowały usytuowane przy

ośrodku boiska sportowe – o takim terenie my w Śremie możemy tylko pomarzyć. Wspaniały jest ośrodek „Villa Marianna” położony w ładnym i zadbanym parku w Ostrowieczku. Dla mnie rewelacja, ponieważ pamiętam jak dworek i pałac wyglądały kiedyś. Pan Mróz kupił cegielnię w Ostrowieczku, która na razie nie jest zagospodarowana, ale patrząc na wcześniejsze realizacje, jestem przekonany, że ten teren zostanie równie ciekawie zagospodarowany.

Burmistrz Dolska pokazał mi usytuowaną za Pokrzywnicą wspaniałą strzelnicę należącą do Centrum Szkolenia Specjalnego „Delta Special Training Center” we Włoskiejewkach, którego właścicielem jest pan Andrzej Bryl. Ciekawostką jest to, że strzelnica ma 300 metrów długości i można tam prowadzić szkolenia dla snajperów przebywających w ośrodku. Pan Litka stwierdził, że co prawda na terenie gminy nie ma zakładów przemysłowych, ale za to funkcjonują znane w Polsce i Europie wytwórnie powozów konnych w Księginkach i Małachowie, które zatrudniają razem ok. 300 pracowników.

Bardzo chciałem zobaczyć i odwiedzić szkołę w Masłowie. Jadąc przez Pokrzywnicę zwróciłem uwagę na stojący tam wigwam. Burmistrz wyjaśnił mi, że w wioskach, gdzie nie ma świetlic postawiono wigwamy, które mają służyć mieszkańcom. Co rzuca się w oczy, gdy jedziemy przez różne miejscowości gminy, to bardzo dużo nowych, ładnych domów, odnawiane są również starsze budynki, co może dobrze świadczyć o statusie mieszkańców. Jest jednak jedno miejsce, gdzie czas się cofnął, to ośrodek wypoczynkowy w Ostrowiecznie. Dzisiaj aż żal patrzeć na to, co zostało po tętniącym życiem ośrodku.

Parę słów chcę poświęcić dwóm wioskom, chodzi o Nowieczek i Masłowo, które położone są w obwodzie mojej byłej szkoły. Nowieczek zaimponował mi swoim wyglądem, odnowione i nowo wybudowane domy, wybrukowane ulice. Teren przy świetlicy bardzo ładnie zagospodarowany z boiskiem do gry w piłkę nożną, widać że latem to miejsce musi tętnić życiem. Z tego co wiem, nad jeziorem powstaje nowe osiedle.

Podobnie jak Nowieczek prezentuje się Masłowo, ładne domy, zadbane obejścia. Ciekawy byłam jak wygląda szkoła – budynek taki sam, ale reszta całkowicie się zmieniła: wybrukowany dziedziniec szkoły, kotłownia gazowa, wewnątrz mała i funkcjonalna sala gimnastyczna, sala komputerowa. Tak samo wygląda pokój nauczycielski i gabinet dyrektora, zmienił się tylko wystrój pomieszczeń. Jak stwierdziła pani dyrektor, w najbliższych latach problemem będzie brak pomieszczeń dla szkoły ośmioklasowej. Takich problemów nie będzie miała szkoła w Dolsku, ponieważ po połączeniu szkół z lokalami nie będzie problemu. Dużą przyjemnością było dla mnie spotkanie z nauczycielami, tym większe, że z częścią z nich pracowałem. Następujące zmiany widać na przykładzie drogi łączącej wieś z trasą Śrem-Dolsk. Kiedyś przy drodze stały dwa budynki, dzisiaj to pięknie zabudowana domami ulica. Na zakończenie naszej wycieczki po gminie burmistrz pokazał mi Ośrodek Doskonalenia Jazdy w Międzychodzie – robi wrażenie swoją wielkością.

Podsumowując swój pobyt w gminie Dolsk, zdaję sobie sprawę, że zobaczyłem niewielki wycinek gminy i moja opinia jest subiektywna, jest to opinia

osoby, która kiedyś tutaj pracowała i porównuje dawną gminę z dzisiejszą. Mieszkańcy miasta i gminy mogą mieć na te same sprawy zupełnie inne spojrzenie.

A teraz o negatywach, które samerzucają się w oczy, to brak obwodnicy i myślę, że jest to poważne zaniedbanie. Mnie, mimo pozytywnych zmian w turystyce, w dalszym ciągu brakuje opracowanej strategii turystycznej gminy, która by zawierała ocenę walorów geograficznych, turystycznych i infrastruktury, możliwości współpracy z sąsiednimi gminami. Takie opracowanie powinno być podstawą do przygotowania długofalowego planu rozwoju turystycznego gminy, bo wg mnie przyszłością gminy jest turystyka. Myślę, że takie opracowanie mogłoby przygotować Stowarzyszenie na rzecz wspierania aktywności lokalnej w gminie Dolsk, którego prezesem jest pan Tomasz Frąckowiak. Obserwuję aktywność Stowarzyszenia za pośrednictwem śremskich mediów, czytam Kurier Dolski. Pozytywnie o Stowarzyszeniu wypowiada się burmistrz Litka. Myślę, że to zadanie może być zrealizowane przez ludzi skupionych w tej organizacji, którzy znają miasto i gminę i chcą działać na ich rzecz.

Na koniec chcę kilka słów poświęcić panu burmistrzowi. Nie będę oceniał działań pana Litki, to zadanie pozostawiam Wam mieszkańcy gminy. Pragnę tylko Państwu zwrócić uwagę na trzy sprawy, które każdy powinien rozważyć indywidualnie. Burmistrz jest członkiem Zarządu Związku Gmin Wiejskich RP, co jest wyrazem wysokiej oceny urzędu i jednocześnie gminy Dolsk. Przed burmistrzem stoją zawsze dylematy dotyczące finansów gminy. Korzystanie ze środków unijnych pociąga zawsze konieczność znalezienia środków na wkład własny, które w większości pochodzą z dodatkowych zobowiązań gminy. Trzecim tematem jest pytanie, czy mieszkańcy zastanawiali się kiedyś dlaczego Henryk Litka wybierany jest na kolejne kadencje na stanowisko burmistrza?

Parę godzin spędzonych w Dolsku i gminie były dla mnie okazją do wspomnień, ale równocześnie nowym spojrzeniem na ten teren. Dziękuję.

Zdzisław ŻELEŹNY

Foto: B. Żeleźny

Dalej były już tylko łąki i pola

Śremskie fyrtle

Dzisiaj przeniesiemy się do fyrtla, w którym mieszka od urodzenia moja przyjaciółka. Często się odwołujemy a wtedy dajemy upust wspomnieniom.

Urszula Ciesielska: Określ nam fyrtel, w którym mieszkasz.

Teresa Meller: Mieszkam na ul. Matuszewskiego, wcześniej Wyzwolenia. Za czasów dzieciństwa, mój dom był ostatnim, kończącym tę ulicę. Skracając za nim w lewo, wchodziło się w ul. Wschodnią, na której stał tylko jeden budynek mieszkalny. Dalej były już tylko łąki i pola. Z okien widziałam wał nad Wartą, wieżę ciśnień i zabudowania na drugim brzegu Warty. Z drugiej strony, za polem i łąką, widoczna była Szkoła Podstawowa nr 2. Równoległa do mojej ul. Piaskowa, wychodząca od Starego Rynku, była wtedy bardzo krótka, liczyła zaledwie kilka domów. W jednym z nich mieszkała rodzina wielopokoleniowa, często dochodziło do sporów i kłótni, które nierzadko przenosiły się na sąsiadów, powodując awantury. Istne piekło! I zapewne dlatego tę okolicę nazwano Piekłem. Wśród starszych śremsian nazwa przetrwała do dnia dzisiejszego.

U.C.: Jak wspominasz swój rodzinny dom?

T.M.: Zbudowany został przez moich dziadków, którzy wprowadzili się do niego w 1899 roku. Stał w ogrodzie wśród drzew owocowych, nieco dalej było duże pole, na którym uprawialiśmy ziemniaki i inne rośliny. Było też podwórko z kuchnią letnią, pralnią i kurnikiem. W narożniku stały klatki z królikami.

U.C.: Czy w pobliżu znajdowały się jakieś sklepy lub warsztaty rzemieślnicze?

T.M.: W pobliżu nie było żadnego sklepu, a po wszelkie zakupy chodziło się na rynek. Dużych

warsztatów rzemieślniczych też nie było w tej części. Mój tato miał początkowo mały warsztat stolarski, w którym robił meble oraz dokonywał drobnych napraw stolarskich.

Na ul. Wielka Rzeźnicka była kuźnia. Często zaglądaliśmy tam. Patrzyliśmy na palące się ognisko, na kowala, który trzymał rozżarzony kawałek metalu i kuł w niego, nadając dowolny kształt. Często przyprowadzano konia do podkucia, wtedy z boku przypatrywaliśmy się, czując strach przed tak dużym zwierzęciem.

Na rogu mojej ulicy i Starego Rynku, w małym budynku znajdował się magiel, który prowadziła pani Halinka Maternowa.

U.C.: Pamiętam ten punkt. Też razem z Mamą nosiłam tam pranie do maglowania. Było to niewielkie pomieszczenie, które oprócz swej funkcji, stanowiło miejsce życia towarzyskiego. Maglujące panie przekazywały sobie najświeższe nowinki albo przyciszonym nieco głosem, „obrabiały” sąsiadki lub znajome. Po zakończonym maglowaniu przychodziła pani Halinka, która rzuciwszy okiem na leżący pakunek wyceniała go na pięćdziesiąt groszy, złotówkę lub złoty pięćdziesiąt, w zależności od wielkości. Pani Halinka była przesympatyczną osobą, zawsze uśmiechniętą i życzliwą.

U.C.: Gdzie się bawiłaś i jakie zabawy pamiętasz?

T.M.: Gdy byłam mała, bawiłam się w ogrodzie, na podwórku, dokarmiałam kurki i króliczki. Później włączałam się do zabaw rówieśników. Były to, jak wszędzie, gry piłką, zabawy ze skakanką, gonitwy. Zimą zjeżdżaliśmy na sankach z małych pagórków, zalane i zamrożone łąki tworzyły wspaniałe lodowisko, po którym jeździliśmy na różnych przedmiotach. Nieraz zdarzyła się mała katastrofa i przemoczona wracałam do domu, na



Mata Terenia ze swym ojcem, w głębi Szkoła Podstawowa nr 2. Foto: arch. T. Meller

szczęście miałam blisko.

Gdy byłam trochę starsza, chodziłam wraz ze starszą siostrą paść krowę. Chodziłyśmy dosyć daleko bo aż na łąki znajdujące się między drugim a trzecim mostem. Wychodziłyśmy na parę godzin, więc mama dawała nam kanapki i coś do picia. Siostra często zabierała książkę, kładła się na kocu i czytała, a ja się nudziłam. Wymyślałam więc różne zabawy, w które wciągałam siostrę. Wiadomo, że pasąca się krowa robi „placki”. Posypywałam je piaskiem z kretowiny i robiłam tor wyścigowy, po którym trzeba przebiec boso. Siostrę puszczałam przodem, mówiąc, że konieczne jest odbicie się o miejsca posypane piaskiem. Wiadomo, w co wdeptywała i jak była potem na mnie zła.

U.C.: Jak zmieniło się twoje życie, gdy byłaś trochę starsza?

T.M.: Zaczęłam chodzić do szkoły, była to Szkoła Podstawowa nr 2. Wokół mojego domu krajobraz zaczął się zmieniać. Przybywały coraz to nowe domy, już nie widziałam z okna Warty i wału. Zabudowywała się też ul. Wschodnia, wydłużyła ul. Piaskowa. Częściej też spotykałam się z tobą.

U.C.: Tak. Pamiętam, jak robiłyśmy sobie „wycieczki krajoznawcze” po całej naszej ulicy.

Na rogu ul. Wyzwolenia i Zielonej (obecnie Piłsudskiego), znajdowała się synagoga żydowska, zwana przez nas bożnicą, zbudowana w latach 1836-38. W czasie drugiej wojny Niemcy przeznaczili ją na magazyn, wcześniej na stajnię dla koni. Po wyzwoleniu mieścił się w niej sklep meblowy. W związku z budową nowej trasy do Poznania, została rozebrana w 1968 roku. Przez dłuższy czas nie można było się przyzwyczaić do jej braku w najbliższym krajobrazie. Zaraz za bożnicą znajdował się ogrodzony plac, należący do Przedsiębiorstwa Skupu Zwierząt Rzeźnych, popularnie nazywany „Spędem”. Gromadzono tu bydło i trzodę chlewną przed wywiezieniem do rzeźni. Później przeniesiono to na ul. Tylną. Tuż za Spędem znajdował się Gasplac. Był to prostokątny plac oddzielony ul. Szkolną i Wielką Rzeźnicką. Spełniał on ważną funkcję dla mieszkańców, bowiem znajdowało się na nim targowisko miejskie. W dni targowe, a były to wtorki i piątki, rolnicy z okolicznych wiosek sprzedawali swe towary: warzywa, owoce, nabiał oraz drób. Późnym latem można było kupić jagody, jeżyny i grzyby. Raz w miesiącu odbywał się jarmark. Wtedy oprócz towarów już wymienionych, handlowano bydłem, końmi, małymi prosiakami. Sprzedawano



Dzieciaki na Gasplacu. Foto: zbiory Muzeum Śremskiego

również drobne towary gospodarstwa domowego, zabawki, święte obrazy, różne makatki do kuchni typu „Świeża woda zdrowia doda”, „Przez żółdek do serca mężczyzny”, „Miłość i zgoda to domu ozdoba”, „Dobra żona tym się chlubi, że gotuje, co mąż lubi” i wiele innych. Makatki wieszano w kuchni nad zlewem lub nad stołem i miały one być obrazem ładu i harmonii, jaka panowała w danym domu. Pamiętam, że niektórzy sprzedawcy głośno zachwalali swe towary. Słychać było: „Płyn na odciski, maść tygrysia na wszystko”, inny, starając się przekrzyczeć, wołał: „Czeeska biżuteria metalowa, nierdzewna, rzeczy tańsze po..., rzeczy droższe po...”. Nie pamiętam już tych cen, w każdym razie biżuteria nieraz po kilku dniach noszenia stawała się „rdzewna”. Na rogu placu stała budka zwana tanią jatką. Można tu było kupić mięso gorszego gatunku po tańszej cenie lub koninę. Cały plac targowy, zwłaszcza w dni jarmarku, był wielką atrakcją dla dzieciaków. Chodziłyśmy do szkoły nr 2 i, idąc do niej, musiałyśmy przejść przez plac. Nie można było się oprzeć, żeby nie pooglądać wystawionych towarów, co powodowało, że spóźniałyśmy się na lekcje. W dniach, w których nie było targu, Gasplac był wspaniałym miejscem zabaw dzieciaków. Były to różne gry

piłką, w helskę, toczenie kół zakrzywionym drutem, najróżniejsze wyścigi. Zabawy trwały do godzin wieczornych. Idąc w kierunku rynku prawą stroną ul. Wyzwolenia, mijałyśmy zakład stolarski specjalizujący się w wyrobie trumien, prowadzony przez pana Kierczyńskiego. W oknie wystawowym zawsze znajdowała się okazała trumna, a my przechodząc, odwracałyśmy głowę z jakimś lękiem. Obecnie znajduje się tutaj sklep z konfekcją damską. Blisko warsztatu stolarza, ale po drugiej stronie ulicy, mieścił się sklep z artykułami metalowymi, zwany sklepem żelaznym. Prowadził go pan Sławiński, nazywany przez wszystkich „Glaspapiór”. Ksywka wzięła się stąd, że właściciel bardzo cenił sobie poprawną polszczyznę. Gdy przychodził klient i prosił o „glaspapię” lub „glaspapiór”, sprzedawca ze złością informował go, że nie jest to żaden glaspapiór, tylko papier ścierny. Przewisko przylgnęło do pana Sławińskiego i tak już pozostało. Często przystawaliśmy przed oknem wystawowym sklepu. Czego tam nie było! Poukładane od największej do najmniejszej kłódki, śrubki, metalowe nakrętki, młotki, obciążki itp. Cokilkanaście dni wystawa była trochę zmieniana, ale zawsze przedmioty układane były z największą precyzją. Po sklepie



Dom rodzinny Teresy obecnie. Foto: U. Ciesielska

metalowym był jakiś czas sklep monopolowy, a ostatnio sklep z odzieżą używaną. Na rogu ul. Wyzwolenia i Szewskiej miał swój warsztat szewski pan Jankowiak. Budynek był dosyć oryginalny, bo miał ścięty narożnik, a do warsztatu wchodziło się po kilku schodkach. Po przeciwnej stronie, również na narożniku, był mały domek kryty papą, a później eternitem, w którym miała zakład fryzjerski pani Jasiczakowa. Na rogu ul. Szewskiej i pl. 20 Października, znajdowała się pasmanteria, którą prowadziła pani Aurelia Sobkowiak. Był to maleńki sklepik, jedyny w swym rodzaju w Śremie. Nie było takiej rzeczy z dziedziny pasmanteryjnej, której u pani Reli nie można było dostać: najróżniejszej wielkości i koloru guziki, spinki, gumki, wstążki, nici. Były też chusteczki, czapeczki, fartuszki, pończoszki. Wchodząc do sklepiku, nie można było się w tym wszystkim połapać, za to królująca za ladą pani Rela bezbłędnie odnajdywała potrzebną rzecz. Uśmiechnięta, umiała doradzić tak, że żadna klientka nie odeszła z kwitkiem. Pani Rela mieszkała w budynku stojącym na rogu ul. Szkolnej i Tylnej, który został niedawno rozebrany.

U.C.: Jak wygląda ul. Wyzwolenia dzisiaj?

T.M.: Blisko czterdzieści lat temu ulica zmieniła nazwę na Seweryna Matuszewskiego. Nie ma już na niej dawnych sklepów, o których wspominałaś, są za to nowe. Blisko mnie jest salon fryzjersko-kosmetyczny, w pobliżu znajduje się Zespół Szkół Ekonomicznych im. Cyryla Ratajskiego. Całkowicie zabudowana jest ul. Wschodnia, na której powstały nowe sklepy.

U.C.: A co zmieniło się wokół twego domu?

T.M.: Stopniowo odsprzedawaliśmy ziemię i w tej chwili mam tylko niewielki ogródek warzywny i grządki kwiatowe. Nadal tu mieszkam i tylko nieraz, kiedy nie mogę zasnąć, wspominam dawny miniony i niepowtarzalny czas.

Z Teresą Meller rozmawiała
Urszula CIESIELSKA

Jędrzej Daleki –

– pradziadek mojej Babci Anieli, żołnierz wojen napoleońskich

cz. VIII

Batalia berezyńska zakończyła się zwycięstwem Wielkiej Armii. Droga powrotu była otwarta, ale 12 tysięcy zabitych i rannych zostało na brzegach Berezyny. Polskie formacje utraciły wszystkich dowódców dywizji i 300 oficerów. Wśród okropnych mrozów i nieopisanej nędzy, wlokły się tłumy żołnierskie, gnane chęcią wydostania się z tych, jak je nazywali, krain mrozu, głodu i śmierci. Mój praprapradziadek, wołyżer Jędrzej Daleki, tak opisuje tę wędrówkę:

Uszedłszy z milę od Berezyny zbieraliśmy się pod jakimś borem. Sam Napoleon rewidował tu pułki, które okropnie były przeredzone nie tak w boju, jak zimą i mrozem. Widziałem go przedtem wiele razy, ale nigdy jak w onczas – i zawsze go tak widzę – miał szarą kapotę z rozporem w tyle, a na głowie lisia czapę. Odtąd rejterowaliśmy ciągle, oganiając się napaści. Zmęczony mojem sztyganiem usiadłem sobie razu pewnego nad drogą, którą

wojska nasze się cofały, a tu szczęśliwie nadchodzi wojsko nasze. Mija mnie każdy z litością spoglądając na mnie. Dopiero w tyle jadący oficer zbliża się do mnie. Był to pocziwy podporucznik Planowski, z którym byłem razem w niewoli angielskiej. „Toś ty ranny, Daleki?” odzywa się do mnie litośnie! „Tak, Panie, w nogę pod Berezyną. Opuchła mi, obmarzła i ledwo iść z biedą mogę.” „Siadaj na mego drugiego konia. Tylko się strzeż, żebyś się z nim nie dostał w ręce Moskiewskie. Trzymaj się naszej kompanii fizylierskiej. Boni tak o konia mi idzie, jak raczej o te rzeczy, co na nim są. Wiozę bowiem śliczne płótno i drogie futro dla mojej żony.” „Dobrze Panie, już ja się będę starał, żeby Panu nic nie zginęło.” Wdrapałem się za pomocą innych na owego konia i jechałem kilka mil na nim. Niestety chciało, że przyszło nam maszerować jakąś wąską drogą między błotami. Zepchnięto mnie razem z koniem z owej drogi. Koń wpadł w oparzeliska, jeno mu trochę głowy i uszy było widać.

John Augustus Atkinson Odwrót wielkiej armii francuskiej spod Moskwy, nękaniej przez Kozaków.
Ze zbiorów The McGill University Napoleon Collection, Kanada





Jerzy Kossak Odwrót Napoleona spod Moskwy, zbiory Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

Mnie naprędce wywindowali żołnierze z owej biedy, a koń ze wszystkim utonął. Przychodzimy na nocleg. Plantowski przybywa czempredzej do mnie, i pyta się o konia i rzeczyswoje. Ja mu powiadam co się stało z nim. Rozgniewał się na chwilę, ale zaraz się udobruchał.

Od Rygi zabiegli nam Moskale, aleśmy im się oparli i dobrześmy ich przetrzepali. Choć prawda, ja już się z nimi bić nie mogłem.

Na nocleg rozłożyliśmy się za borem. Śnieg był głęboki tak, żeśmy ledwie ogień rozniecili. Co to była za noc straszliwa! Zimno tak, że człowiek na dobre zębami dzwonił – a tu grzej się na roztopionym śniegu. A co to będzie jutro? Taż sama nędza, tylko może więcej napastników i więcej bólu. Moja noga zaogniła się i nabrzmiała okrutnie. Płakałem z bólu jak dziecko, a łzy mi do twarzy przymarzły. Nie było się komu poskarżyć, ani kogo poradzić, bo każdy narzekał i prawie sam płakał. Ludzie w tem srogiem nieszczęściu byli bez czułości jedni dla drugich. Iniedziw, bo każdy myślał tylko, aby w tym śniegu i mrozie nie zostać. Oj kiedy to człowiek widzi marną śmierć przed sobą, to najlepiej czuje jak to na nic mu się nie przydadzą ani pieniądze ani

piękne rzeczy. Wszystko za nic wtenczas – prawdziwie jak nas księża nauczają, marnością to wszystko się widzi.

[...] Raz w marszu osłabiony i przeziębły zostałem trochę w tyle. Idę, idę jak mogę i przyszedłem do boru. Droga była od sanny tak ubita i szeroka, że szło się jak po szkle. Nagle słyszę krzyk za górą blisko boru. Patrzę, a tu nasi uciekają przed kozakami. Niewiele myśląc buchnąłem się w kupę śniegu świeżo spadłego, tak, aż mnie widać nie było. Kozacy przelecieli jak strzała obok mnie. Gdy się wszystko uciхло chcę wstać, a tu strętwałem cały tak, że się ruszyć nie mogłem. Aleć przecie po długim mocowaniu się z sobą i ze śniegiem wylazłem z owej biedy. Idę dalej. Jak zwykle tak i teraz czułem głód i zimno. Patrzę, a tu niedaleko od drogi na gołazni między drzewami, widać resztki ognia. Ucieszyłem się zwłaszcza, że przy dogorywającym ognisku ujrzałem dwóch Francuzów siedzących na śniegu i obwiniętych w płaszcze. Zbliżyłem się do nich i mówię: „Pozwólcie kamraci, niech się trochę ugrzeję!” Oni nie odpowiadają. Ja trącam jednego poramieniem, a ten się wywraca skostniały.

Patrzę a tu i drugi martwy. Ach oni pomarli, nim ogień wygasł! Gorzko westchnąłem nad losem tych nieszczęśliwych i nad biedą naszą, zmówiłem krótki pacierz za ich dusze i poszedłem dalej.

Przychodzę do jednej wsi, gdzie zastałem wielu naszych zgłodniałych tak jak ja. „Nie macie co jeść, bom ranny i głodny?” mówię do nich. „Nie mamy nic, i sami umieramy prawie z zimna i głodu!” „Nie szukaliście we wsi?” „Szukaliśmy, ale nicśmy nie znaleźli.” – Idę więc ja szukać. Bóg łaskawy był dla mnie. Ledwom wszedłem do pierwszego porządnego domu – był to pewnie pałac – znajduję pełno mąki w jednym pokoju. Wołam kolegów żeby mi zrobili ogień w piecu. W momencie był ogień, a ja zarobiłem ciasto i upiekłem w krótkim czasie każdemu po bochenku chleba.

Sam zaś pokrzepiwszy się wziąłem jeszcze bochenek ze sobą, ale na nieszczęście, gdyśmy wchodziłi do Wilna, cisnąc się jeden prawie przez drugiego, bo Moskał na nas nacierali, urznął mi ktoś ów bochenek z tyłu i wziął. Ja w Wilnie do bochenka, a tu go nie ma. W Wilnie tylkośmy trochę odpoczęli i ruszyliśmy dalej.

[–] Blisko granicy litewskiej przez którąś mieli wchodzić do Prus, nadszedłem także już ciemno w wieczór do jednej wsi, w którejś idąc do Moskwy rasztakowali (wypoczywali w marszu). Spieszę więc do tego samego domu, gdzie miał wówczas kwaterę. Zastaję w izbie dwie kobiety. Proszę je o nocleg, – one się wymawiają. Ja jednak osłabiony nie pytam się dalej, tylko siadam za stołem. Wtem przychodzi chłop i zaczyna krzyczeć na mnie. Ja go proszę, żeby miał litość nademną, a on bierze mi tornister, którym był złożył na stole, i wyrzuca oknem na dwór w śnieg. Darmo, trzeba było iść za swymi rzeczami. Wyszedłem więc z ciepłej izby – zapłakałem sobie na prawdę nad takim twardym sercem. Wziąłem tornister, i idę dalej na Opatrzność Boską. Zdala widzę jasne światło w jednej chałupie. Wchodzę, a tu karczma, a w niej pełno naszych oficerów. Pozezowali buty i grzeją ozięble nogi przy kominie. Zbliżyłem się też i ja do ognia. Wtem jeden z Francuzów pyta mnie się, co mi jest w nogę? „Rannym Panie” odpowiedziałem mu. Kazał sobie nogę pokazać. Zaczął nad nią głową kiwać, ale wnet wyciągnął ze swego tłumoczek lekarstwo, nasmarował mi nim, przywinął aż miło, a nadto dał mi jeszcze kieliszek mały wódki. Był to doktor francuzki. Ja buchnąłem się na ławę

między drugich, i tak szczęśliwie pod dachem przenocowałem. Nazajutrz ów pocziwy doktor wziął mnie na swoje sanki, i wiózł mnie kilka mil, aż się złączyłem z moją kompaniją. Już nie Zdzitowiecki, lecz niejaki Świerczakiewicz był naszym kapitanem, a pułkownikiem pewnie Cichowski, który z nami szedł do Rossyi pod dowództwem generała Żyro (Giraud). Z kompaniją swoją szedłem dalej choć kulawy aż do Kwidzyna. Nigdzie nas nieprzyjacieli nie zaczepił. Z Kwidzyna pocziwy kapitan, widząc jak mnie noga boli, zabrał mnie ze sobą do Poznania, dokąd i cała kompanija pospieszyła za nami. W Poznaniu nie było czasu leczyć się na nogę, bo codzień spodziewaliśmy się nieprzyjaciela. Z Poznania udaliśmy się do Kistrzyna. Po drodze pełno już było Moskali, z którymi się pod Międzyrzeczem nasi ułani ucierali. My kręciliśmy się odtąd wszędzie. Przyszliśmy do Berlina, a tu miasto nie chce nas przyjąć ani wpuścić. Przybywamy do Poczdamu – tak samo nam robią. Jużemy tu nawet armaty wytoczyli by walić do miasta, aleć dano pokój, bo dosyć my mieli nieprzyjaciół w polu. Żeby mieć się gdzie oprzeć nieprzyjacielowi, ruszyliśmy potem do Szpandau, i tuśmy się zamknęli. Mogło nas być ze cztery tysiące. Dobywali nas tu Prusacy i Moskał przez dwanaście niedziel, a nie mogli nam nic zrobić. Dopiero zaczęli bomby puszczać. Spalili nam tak wszystkie magazyny, nawet prochownię wysadzili w powietrze, przy czem mnóstwo naszych żołnierzy zginęło. Widząc, że się utrzymać nie zdołamy, poddaliśmy się wreszcie. Złożywszy wszystkie ładunki, wyszliśmy z bronią z Szpandau, ale pod konwojem ułanów moskiewskich, konopolskimi zwanych, a pruska piechota postępowała za nami o jeden marsz.

W Braunszweig (Brunszwik) oddał nas ów konwój Francuzom, których tam było czternaście tysięcy, a który odchodzący ów nasz konwój ślicznie z tyłu pożegnali ogniem armatnim tak, że zmykali co siła. Odpocząwszy dziewięć dni w Braunszweig, poszliśmy do Hessen-Kassel, a stąd do Erfurtu.

Moja noga okrutnie mi obolała. I nie dziw, bo od Bereżyny gdzie byłem w nią ranny wśród mrozów, śniegów i ustawicznych marszów, raz tylko była w Litwie opatrzoną przez doktora. Poszedłem w Erfurcie do lazaretu. Gdy ją doktorzy zobaczyli, koniecznie chcieli mi ją upiłowić, bo już tak było z nią. Obmarzła, rozogniła się tak, że już ciało na niej psuć się zaczynało. Ja nie pozwoliłem jej sobie urzynać, tylko żartując z doktorów odezwał się:



KSIAŻĘ JÓZEF POD LIPSIEM

PODLUG LITOGRAFII WEBERA
Ze zbiorów E. Phulla

„Gdzieżbym ja na sądzie ostatecznym szukał nogi? Mam ja do domu bez nogi wrócić? Wolę niech mi kula armatnia urwie, ale ucinąć nie dam”. Uda-
wałem zucha, ale ból cierpiałem wielki, a owemi
żartami chciałem doktorom tylko pokazać, że tak
źle jeszcze ze mną nie jest. Zaczęli mi ją gojić. Nie
życzę największemu nieprzyjacielowi takich le-
ków. Bogu dzięki jednak wygojili mnie. A chociaż
dziś jeszcze każdą słotę mi ona przepowiada, dosyć
żem w onczas mógł dobrze się znowu bić, a i dziś
szczudła nie potrzebuję.

Pod Witebergiem (Wittenberg) nad Elbą jużem się
znowu bił dobrze. Takeśmy już byli słabi, że z na-
szych trzech pułków (z czwartego, siódmego

i dziewiątego) zrobiono tylko pułk jeden. Moskale
i Prusacy mieli tu piękny obóz, nawet się okopali od
strony miasta. My jednak w nocy na nich uderzyli
i takeśmy wpadli na nich niespodzianie, że brano
oficerów w koszulach, którzy klęcząc wołali par-
donu. Zrobił się popłoch. Wszystko zmykało, co
żywo. Noc była ciemna – wtedy się tylko rozjaśnia-
ło, gdy ognia dawano. Gnałismy ich owej nocy
ciągle aż do rana. Gdy świtać poczęło, dopiero
sposzregli, że nas tylko garstka. Dalejże tedy na
nasze karki! Na górze za borem mieli zatoczone
armaty w dobrej pozycji. Jak więc zaczęła grzmocić
i prażyć, a potem jak natrą na nas – to aż skóra dziś
cierpnie na człowieku, gdy sobie wspomni! Radzi
nieradzi musieliśmy się cofać, ciągle się broniąc.

Dopiero gdyśmy się zbliżyli do naszego obozu, zaniechali pogoni, a my połączeni ze swymi odpoczęliśmy dni kilka. Odtąd ucieraliśmy się na różnych miejscach z nieprzyjacielem przez kilka niedziel, aż nareszcie zwaliliśmy się wszyscy pod Lipsk.

Pod Lipskiem była taka batalija, jakiej może świat nie pamięta. Co tam było różnego narodu, to ciężko wypowiedzieć. Taki zaś był huk, że wszystko drżało i wszystko się trzęsło, nawet ziemia z człowiekiem. Jęki padających, świstanie kul, huk armat, odgłos trąb ciągłych i ustawiczne komenderowanie – wszystko to przypominało ów sądny dzień.

[-] Już mogło być dobrze po południu, gdy do nas wołyżerów przyjechał konno Napoleon ze swoją świtą i kazał nam zabrać dwie armaty, co nam bardzo szkodziły, i uderzyć na flankierów moskiewskich. [-] Ruszyły przeto dwie nasze kompanije na komendę samego Napoleona. Pozaciętej utarczce wyparliśmy naprzód z rowu Moskali, a sami brodząc w wodzie usadowiliśmy się w nim. Gdy wystrzelili z armat onych, my co ducha z rowu i dalej na nie! Nie pozwoliliśmy już im nabić powtórnie, tylko jak zaczniemy rąbać kanonierów i oddział piechoty przy nich będący brać na bagnety, to owe Moskaliska aż ręce załamywały wołając pardonu. Wzięliśmy ich do niewoli, a armaty z radością prowadzimy do naszych. Ale że przez ów rów niepodobna ich było przedostać, skręciliśmy więc z niemi na bok Lipska, gdzie stała wieś duża. Gdyśmy już byli blisko owej wsi, a tu wypadają Prusacy, których tam było trzy tysiące, i dalej na nas. Zostawiliśmy armaty zdobyte, a każdy ratował się ze życiem. Tu o małym nie zginął. Skoczyłem bowiem w rów, by przejść na drugą stronę, a tu huzar stoi na brzegu i pali do mnie jakby do psa o dwa kroki. Chciał mnie trafić w głowę, lecz kula urwała mi tylko kawałek ucha. Ja choć ogluszony i krwią zalany palnąłem ze sztucera wyszedłszy z rowu, i zabiłem na miejscu szwernutą. Jeszcze i dwóch innych uśmiercił ratując siebie, poczem dostałem się szczęśliwie do swoich.

Przybywszy na plac boju, ujrzałem obok siebie więcej umarłych jak żywych. Ale ranę moję podwiązałem chustką i biję się dalej, i dobrze mi się biło, bom nie słyszał tak bardzo huku. Wtem przybywa adiutant od sztabu do naszego kapitana Świerczakiewicza i pyta go się: „Kto pierwszy

z kompaniji dopadłowych dwóch armat?” On wymienił między innymi pewno i mnie, gdyż nie upłynęło może ani dwóch godzin, a tu przybywa tenże sam adiutant i oddaje kapitanowi naszemu jakieś pisma. Wkrótce zbliża się do mnie nasz kapitan i oddaje mi pismo mówiąc: „Daleki, tu masz pismo na krzyż; schowaj je dobrze, a jak się tylko trochę uskromimy, to go dostaniesz”. Wziąłem owopismo i włożyłem w kaszkiet z radością, i biję się dalej.

[-] Nazajutrz wcześniej już wrzała znowu bitwa. Z jednej strony Lipska walczył książę Józef Poniatowski, dalej na różnych punktach Francuzi. [-] Przed wieczorem, nie wiem która mogła być godzina, mosty pozrywano i Francuzi rejterować poczęli. Oparliśmy się o pół mili z drugiej strony Lipska, pod wodnemi młynami. Zaczęto właśnie obliczać nasze straty, gdy nagle odebraliśmy wiadomość, że książę Józef Poniatowski utonął. My biedni Polacy spuściliśmy głowy, bo każdy żałował tak dobrego wodza. „Oj źle – mówiliśmy sobie – kiedy już tacy giną!”

Ciągle rejterując, a bijąc się prawie ustawicznie przyszliśmy do Frankfurta, a później do Mainc (Moguncja) nad rzekę Ren. Najpierw się gwardyje Napoleońskie przeprawiły, za niemi armaty i bryki, a my zdążali do wody jak mogli. Wtem widzimy, że niektórzy nasi od bryk pędzą ku nam przerażeni. Wtem wpadają zaraz na nas Moskale, Prusacy, a z przeciwnej strony cesarska (austrijska) konnica, nawet i Szwedów widzieliśmy. Tak obskoczeni uszykowaliśmy się czempredzej do boju, i biliśmy się z rozpaczą prawie, póki ładunków i sił starczyło. Pod wieczór już było niepodobieństwem się bronić, bo nam przybrało ładunków i sił, a nieprzyjacielowi coraz więcej przybywało wojska na pomoc. Zginęło nas dużo, i bylibyśmy pewno wszyscy zginęli, gdybyśmy się nie byli poddali, a śmierć nasza teżby Francuzom nie była pomocą. Zażądaliśmy tedy pardonu. Dano nam go, i zabrano nas w niewolę, rozdzieliwszy nas jeńców na trzy oddziały.

Jeden zabrali Moskale, drudzy Prusacy, a trzeci oddział zabranych, do którego ja należałem, dostał się w niewolę do Cesarza (to jest austrijską).

Opracowała
Maria KONIECZNA

Na pożegnanie

100 lat przy Szkolnej

11 maja 2016 roku minęło 100 lat od powstania szkoły przy ul. Szkolnej 4 w Śremie. Począwszy od stycznia ub. r. przypominałem najważniejsze fakty z historii „Dwójki” i dzieliłem się osobistymi refleksjami...

Dzisiaj jeszcze tylko kilka tematów i zamykamy ten jubileuszowy, wspomnieniowy cykl.

Do Szkoły Podstawowej nr 2 wróciłem po trzynastu latach od czasu, gdy zostałem w 1970 r. jej absolwentem. Kilka lat później zostałem trzynastym w historii „Dwójki” dyrektorem szkoły podstawowej. W końcu – przez trzynaście lat kierowałem Gimnazjum nr 2. No cóż... okazało się, że 13 nie musi być pechową liczbą. Nie mogę jednak zapomnieć, że jeśli bilans jest dodatni, to także dzięki osobom, na których z zaufaniem mogłem się oprzeć. Pisałem już o nich w cyklu „Ludzie, których spotkałem” (o wszystkich ludziach szkoły naraz – w poprzednim wydaniu GŚ). Wtedy nikogo imiennie nie wyróżniłem, a teraz czynię wyjątek, gdyż muszę (!) to zrobić dla trojga moich najbliższych współpracowników.

Wicedyrektorzy

Jan Weis (szkoła podstawowa: 1991-1997), Sabina Marciniak (szkoła podstawowa: 1997-1999 i gimnazjum: 2001-2012) oraz Zbigniew Szonert (gimnazjum: 1999-2010). Fakt, że przez ponad 21 lat było ich tylko troje świadczy wyłącznie dobrze. Świetnie się rozumieliśmy, doskonale się uzupełniając. Każdy wnosił coś innego, dawał od siebie to, co najlepiej potrafił. Z każdym z nich wiąże się wiele wspomnień szczególnego rodzaju. Z Janem rozpoczynałem dyrektorską przygodę. Razem uczyliśmy się kierowania i współdziałania ze szkolną społecznością. Wystartowaliśmy

w nowej polskiej rzeczywistości, oddając szkołę pod opiekę nowemu Patronowi. Zorganizowaliśmy szereg działań z tymi zmianami związanych. Rozpoczęliśmy też rozbudowę szkolnej bazy materialnej. Współpraca z Sabiną trwała najdłużej. Też było ciekawie. Największe chyba wyzwanie to dwuletni okres, gdy Ona była dyrektorem „wygaszanej” podstawówki, a ja – raczkującego gimnazjum. Udało się płynnie, bez żadnych zgrzytów przez to przejść. Sabina wytrwała ze mną aż do chwili, gdy „schodziłem z pokładu”. A Zbigniew? Współtwórca gimnazjum, swoisty „minister cyfryzacji”, specjalista od modernizacji wszelkiego rodzaju. Kawał serducha zostawił na Bazarze. Zastaliśmy ten obiekt w ruinie (naprawdę!) – a jaki (głównie dzięki pracy Zbyszka) jest dzisiaj, każdy może zobaczyć.

Jan, Sabina, Zbigniew. Co zrobiłbym bez nich?

Wychodziliśmy coraz dalej poza szkolne mury – Śrem, Polska, Europa. Podróżując po szerokim świecie, odwiedziliśmy m.in. Londyn, Paryż,

Dyrektorzy: Jan Weis, Sabina Marciniak, Leszek Mańkowski, Zbigniew Szonert, czerwiec 2010 r.





Janusz Wojciechowski, Arleta Kajetańczyk, Grażyna Opielewicz. Spektakl *Sceny z życia Księdza Patrona*, marzec 2009 r.

Brukselę, Luksemburg, Pragę, Rygę, Wilno, Rzym, Wiedeń... Były wycieczki szkolne: edukacja i rozrywka. Mnóstwo wrażeń, ciekawe sytuacje – od bardzo poważnych do humorystycznych, a nawet takich na styku z kabaretem. Choćby ten przykład: W jednej z wymienionych stolic nie mogliśmy zjeść obiadu, gdyż w stosownej ku temu porze restauracja była zamknięta z powodu... przerwy obiadowej! (Zagadka: Gdzie i kiedy to było?).

Byliśmy poza granicami również wirtualnie. Spektakl *Sceny z życia Księdza Patrona* w wykonaniu naszego nauczycielskiego teatru dzięki telewizyjnej satelitarnej transmisji „live” mogło obejrzeć pół świata i okolice.

Absorbowaliśmy naszymi szkolnymi działaniami znamienite osoby. Wydarzenie niezwykle do życzenia i papieskie błogosławieństwo Jana Pawła II dla wszystkich organizatorów i uczestników Śremsongu, przesłane specjalnym telegramem z Watykanu, w czasie trwania przeglądu w 1996 r. Był też dyplom od Prezydenta Rzeczypospolitej z racji zdobycia certyfikatu „Szkoła z klasą”.

Otrzymaliśmy też podziękowania od ambasadora RP na Łotwie i sporo innych wyrazów uznania.

Pytanie, które mnie intrygowało: Dlaczego szkole nadano w 1975 r. imię Bohaterów Armii Radzieckiej? Kto pyta, temu odpowiedzą. Odpowiedź usłyszałem od człowieka, który sprawił „Dwójce” ten „zaszczyt”. Miało być tak, że w ramach „umacniania braterskiej przyjaźni” komuniści z NRD chcieli nas „uszcześliwić” jednym z niemieckich antyfaszystów jako patronem szkoły. No i wtedy nasz lokalny „wódz” przestraszony takim prezydentem zagrał *va banque*! Tego przeliczyć się nie dało, Armia Radziecka pokonała antyfaszystów!

Będąc dyrektorem musiałem odpowiadać na mnóstwo pytań, w każdym roboczym dniu. Ale były też sytuacje szczególne, np. cztery konkursy na dyrektora szkoły, gdzie padały pytania wagi ciężkiej (choć zdarzały się też takie „z innego świata”). Tu wspomnę jednak sesję Rady Miejskiej, na której rozpatrywano nasz wniosek o nadanie gimnazjum imienia ks. P. Wawrzyniaka i – to, zadane mi przez jedną z pań radnych, „drama-



Podczas spotkania w kinoteatrze Słonko, 20 kwietnia 2012 r.

tyczne”, zapierające dech pytanie: „Czy uda się realizować oparty na wzorcu Patrona program wychowawczy z uczniami przychodzącymi ze szkoły, której patronuje M. Kopernik?” Cóż było mówić? Kopernik vs. Wawrzyniak? Ale skoro trzeba odpowiadać... Użyłem argumentu, że skoro jeden z nich był kanonikiem, drugi prałatem – to pewnie ci patroni się „dogadają”.

Pytania. Co łączy Fryderyka Chopina z orkiestrą dętą oraz Romana Polańskiego z naszym gimnazjum? Niepokalanów! A mówiąc dokładniej: odbywający się tam Międzynarodowy Katolicki Festiwal Filmów i Multimediiów. Nasze filmy dwukrotnie zakwalifikowano do prezentacji konkursowych. W 2002 r. po zakończeniu projekcji *Króla Czynu* byłem odpytywany „na okoliczność”. (Dla jasności – ścieżkę dźwiękową stanowiły wyłącznie utwory Chopina). No i tu nas próbowano przyłapać, że jak tak można: na wizji grająca orkiestra (ta nasza, śremska), a słychać preludium (a może scherzo? – nie pamiętam). I po takiej krytyce... dzień później wraz z Hanną Bednarczyk, współtwórczynią filmu, odbierałem na-

grodę za drugie miejsce w kategorii filmów amatorskich! Działo się to 25 maja. W tym samym czasie, w Cannes Złotą Palmę otrzymał Roman Polański za *Pianistę*. :)

Rok 2012, ostatni okres mojej pracy. Czas na spakowanie się, na oficjalne (i nie tylko) pożegnania i podziękowania. 20 kwietnia skorzystałem z danej mi niezwyklej możliwości. Zaprosiłem do „Słonka” wszystkich, wobec których pragnąłem wyrazić wdzięczność za to, co przez lata mi dawali. Mogłem po raz ostatni usiąść naprzeciw tych osób i ze sceny kinoteatru, patrząc im w oczy, powspominać i podziękować. Tych pięknych chwil nie zapomniałem, ale jeśli tak się przydarzy? – mam całe spotkanie na dvd.

Potem czerwiec. No i 31 sierpnia... Żegnałem się z moją szkołą kilka razy. Dziś inne (ostatnie?) pożegnania. Powieści-rzeki nie będzie.

Leszek MAŃKOWSKI
Foto: ze zbiorów autora

O Ludziach, których spotkałem

Zacząłem w roku 2013. Nie są to biografie. Nie pisałem o kimś, z kim nie zetknąłem się dość blisko. Nie oceniałem osoby. Opinie wynikają z wynikowego, subiektywnego oglądu zachowań w sytuacjach dialogu i współdziałania.

Ukazało się już 21 tekstów z tego cyklu. Czas na „przystanek”, spojrzenie wstecz; na powrót do opisanych spotkań.

Pierwszym był ks. Jan Kajetańczyk. Nasze spotkania to okres trzech lat. Dla Niego to był ostatni odcinek życia, dla mnie – początki kierowania szkołą. Pamiętam życzliwość, skromność, zrozumienie dla ludzkich problemów. Widzę Człowieka pogodnego, szczerego, autentycznego i budzącego zaufanie.

Kolejni ludzie: Marian Dominiczak – konsekwentny w działaniu; wymagający w stosunku do innych, ale i od siebie. Z energią, dowcipem, radością życia i stale nowymi pomysłami. Profesor Stefan Stuligrosz – miałem szczęście spotkać wspaniałego człowieka. (...) mądrego, skromnego, życzliwego, rozumiejącego świat i ludzi Wielkiego Człowieka. Marian Zieliński – nauczyciel i wychowawca. Wymagający i wyrozumiały, mobilizujący i stopniujący trudności. Autorytet. Stanisław Płociennik – z tych, o których mówimy: człowiek-instytucja. Pasjonat, dla którego praca i hobby stanowi jedność. Paweł Fabisiak – kiedyś „młody zdolny”, teraz... mniej młody, bardziej zdolny i do tego z doświadczeniem! Brak miejsca na opisanie wszystkich działań. Ksiądz Marian Brucki – nie politykuje z ambony. Potrafi mówić o godnym codziennym życiu. Nie szczędzi krytyki, nie tyle dla „dyżurnych wrogów Kościoła”, ile dla wierzących, którzy postępowaniem zaprze-

czają temu, co głoszą. Paweł Wojna – nie odmawia pomocy w potrzebie. Spotykamy się, by coś nowego zorganizować. Rozmawiamy, mamy sporo wspólnego. Różnice zostawiamy na boku. Adam Lewandowski – miłośnik literatury, poeta, krytyk literacki, eseista. Pasjonat sportu – praktykuje bieganie długich dystansów i pływanie. Wielbiciel motocykli. Tadeusz Kaczmarek – wychodzi naprzeciw ludzkim troskom i kłopotom. Niezwykle życzliwy, wyrozumiały, uczynny, skromny. Jeżeli wymagający, to od siebie. I cały czas chce mu się chcieć! Nina Szymt – Jej nieczęsto dziś spotykane poczucie humoru, inteligentne, składające do refleksji, nie pozbawione ironii, z pewną dozą autoironii. Jakoś to takie „niedzisiejsze” chyba. Mariusz Kondziela – obaj podobnie myślimy o imponderabiliach. No i – bardzo cenimy twórczość Leonarda Cohena! Jest coraz bardziej pogodny, zdystansowany do „świata” i – bardziej pewny swojej wartości i wolności.

Od początku 2016 roku przypominałem osoby, z którymi połączyła mnie szkoła. Wśród nich był polonista Mieczysław Perliński – z powołania, zamilowania nauczyciel. Życzliwy dla uczniów. Kompetentny, ustalający jasne reguły, konsekwentny, obiektywny. Z wyrafinowanym poczuciem humoru. Lubiłem tego „Dziadka”!

Moi współpracownicy: Stanisława Mozgawa – czasem mówiono (złośliwie?), że Ona wie lepiej, więcej niż dyrektor. A niech tam! Jeśli nawet tak było, to co? Miałem nie korzystać z Jej kompetencji? Janusz Skotarczak – zarażał entuzjazmem i pozytywną energią. Wszystkich? Nie! (Toż to cud byłby jakiś). Ale z reguły sobie „radził” – mówiono w pokoju nauczycielskim, że spojrzy w oczy i tak zagada, że nie sposób odmówić.

Piotr Rojek – uczy w sposób tradycyjny, nie goni za nowinkami, potrafi zarażać uczniów historyczną pasją. Absolwenci mówią o Panu Rojku, że miał z nimi wspaniały kontakt, umiał nauczyć, docenić i zrozumieć. Sabina Marciniak – nigdy w ciągu piętnastu lat nie miałem powodu żałować. Lojalność, samodzielność podejmowania decyzji przy pełnym przepływie informacji. Wspólne wypracowywanie strategii, ale też – dyskusje (przy kawie) o bieżących sprawach. Katarzyna Jurga – wiedza i kompetencje. Umiejętność jasnego przekazywania informacji. Samodzielne załatwianie rutynowych spraw. Nasza współpraca? Serdeczność, wyrozumiałość, pogoda ducha, szczere rozmowy, lojalność, dyskrecja, „pilnowanie kalendarza” i zawsze dobra poranna kawa.

Nie zabrakło gimnazjalnej absolwentki: Roxana Tutaj – koncerty, występy, festiwale, projekty, przygotowania, dyskusje. Sporo okazji, by się poznawać. Talent poparty pracą. Traktowanie występu w wiejskiej świetlicy tak samo poważnie jak w telewizyjnym show oglądanym przez miliony.

Były też teksty „grupowe”: Towarzystwo im. Ks. Piotra Wawrzyniaka i Zespół (o wszystkich, z którymi pracowałem w szkole).

Pisząc o Spotkaniach z Ludźmi – za każdym razem spotykam siebie!

Leszek MAŃKOWSKI
Foto: Roxana Tutaj

Autor w cieniu Patrona



„Dzisiaj Gajos zatknął flagę”

Nie samym chlebem

Wczesnomajowy, poniedziałkowy poranek. Jedziemy z mężem do Śremu. Sennie kontemplujemy nieprzychylną, utrzymującą się w nieskończoność, jesienną aurę. W samochodzie gra nieśmiertelne Radio Trzy. Świt po wyborach prezydenckich we Francji. Radio nadaje tylko francuskie piosenki.

– U nich dzisiaj święto – mówi Bohdan. – Dzisiaj Gajos zatknął flagę. Na...

– ...na Bramie Brandenburskiej. Ale to było 2 maja – prostuję. – Stąd nasze Święto Flagi.

– No tak – kwituje mąż i dodaje: – a Rosjanie jutro. U nich już było po północy.

Milkniemy, kontemplując już nie sine chmury i krople zimnego, „niespokojnego” deszczu na szybie, a fakty historyczne.

Nic, „nuda jak w polskim filmie”.

Po długim czasie dociera do mnie ładunek treści zawarty w sformułowaniu „Dzisiaj Gajos zatknął flagę”. Ha! Ile trzeba mieć ze sobą wspólnego, by taki skrót myślowy mógł być zrozumiałym komunikatem. Zapewne Tobie, Drogi Czytelniku, moje stwierdzenie wydaje się trywialne, bo w lot chwyciłeś i żart, i sens. Racja! Wystarczy przecież być dorosłym Polakiem, może trochę „bardziej” dorosłym, na tyle, by swobodnie poruszać się w podstawowych faktach historii XX wieku – co do swobody młodych ludzi w tym względzie mam pewne wątpliwości z racji niedostatków powszechnej edukacji, ale być może jestem niesprawiedliwa. Młodych ludzi ominęło też oglądanie serialu *Czterej pancerni i pies* w kółko. Gdy cofam się do dzieciństwa, mam wrażenie, że wojenne peregrynacje załogi czołgu „Rudy” wyświetlano w telewizji nieprzerwanie. Nie umiem powiedzieć, czy kiedykolwiek wówczas odbywały się wieczorne seanse. Ja kojarzę serial wyłącznie

z pasmem dla dzieci i młodzieży. Prawdopodobnie przesadzam też z tym „w kółko”, bo nałożyły mi się w pamięci niedzielne poranki w milicyjnym kinie Gwardia. Ech, co za czasy! Tak sobie teraz myślę, czy aby godzina wyświetlania *Pancernych* nie zbiegała się z rozpoczęciem niedzielnego „seansu” w budynku z wysoką wieżą... Właśnie. Kolejne niedomówienie, na które mogę sobie pozwolić.

Żyjemy na pewnym wytyczonym obszarze, porozumiewamy się tym samym językiem, mamy wspólne doświadczenia historyczne, społeczne i kulturalne. Tu nas wychowano i tu my wychowujemy kolejne pokolenia. Jesteśmy narodem, mamy wspólną tożsamość, mamy swoje symbole. To jest płaszczyzna, na której wszyscy potrafimy się porozumieć. Wyobrażam sobie, ilu słów trzeba by użyć, żeby wytłumaczyć Anglikowi, co miał na myśli Bohdan, wypowiadając swoją kwestię. I tak byłoby łatwiej niż na przykład z Kenijczykiem albo Peruwiańczykiem. Z Anglikiem przynajmniej łączy nas kontynent. Takie rozważania mogą zdawać się błahe, bo nie uświadamiamy sobie na co dzień, że posługujemy się nie tylko wspólnym językiem, ale też swego rodzaju kodem kulturowym. Są zdania, których nie musimy kończyć, są oczywistości, których nie musimy tłumaczyć. Czy to jednak znaczy, że stanowimy jedność?

Już widzę te uśmiechy wypełzające odruchowo na usta. Jedność?! Przecież właśnie odbywa się w naszym kraju wielki spektakl dzielenia na jednych i drugich, i trzecich, i czwartych... Gdyby ktoś naprawdę chciał się w tym zorientować, miałby poważny kłopot, bo podziały te się krzyżują, co sprawia, że zaczynają być mętne, i – w zależności od bieżących potrzeb – sięgają do różnych pokoleń wstecz. Łatwo zauważyć, że jest to gra polityków,

Kapitan Antoni Jabłoński z polską flagą na Kolumnie Zwycięstwa w Berlinie, 2 maja 1945 r. Janek Kos, na potrzeby scenariusza serialu *Czterej pancerni i pies*, zatknął flagę na Bramie Brandenburskiej



którzy takimi narzędziami próbują umocnić lub przejąć władzę w państwie. Szkoda jedynie, że w tę grę włączają wartości, które nie są przypisane państwu, a narodowi. Symbole narodowe traktuje się instrumentalnie, trwa spór o patriotyzm, padają oskarżenia o zdradę. Rzucane są mocne słowa nie poparte faktami, niczego już nie nazywa się po imieniu – dla przykładu: w dzisiejszej naszej polityce faszystą nie jest ten, kto jest faszystą, tylko dokładnie ten, który jest od tej zbrodniczej ideologii jak najdalej. Cóż, nie są to szachy – szlachetna, królewska gra wymagająca inteligencji, strategii i przestrzegania reguł. To jest poker – wszyscy bluffują po to, by wygrać pieniądze. Wielki smutek i wielka szkoda.

Szkoda jest dla narodu wielka, ponieważ czas najwyższy zrozumieć, że podlegamy ewolucji, że jesteśmy już zupełnie inni, że świat i my razem z nim bardzo się przez ostatnie sto lat zmieniliśmy. Spory rodem z II Rzeczypospolitej tam nas właśnie cofają, a mimo wielu zdobyczy, nasze państwo poniosło wtedy całkowitą klęskę. Nasze obecne publiczne debaty miały w kółko przeszłość, której już nie ma. My już nie jesteśmy tym uciemiężonym narodem bez własnego państwa. My już nie musimy walczyć o swój język i swoje tradycje, ba! nam już naprawdę nie zagraża z zewnątrz. Przyszłość czasu budowania wspólnoty pokojowej, nie – opartej na wspólnym, śmiertelnym wrogu. Takiego wroga w tej chwili nie ma. Warto by się wreszcie zacząć zastanawiać, czym dzisiaj jest patriotyzm, czym dzisiaj w ogóle jest wspólnota jednego narodu. Warto by wreszcie zauważyć, że globalnie

cywilizacja zachodnia powoli wyczerpuje swoje baterie i nieuchronne jest nadejście nowej kultury. Gdzie my wtedy będziemy? W średniowieczu? Kto da nam szansę, jeśli nie damy jej sobie sami?

Krzysztof Zanussi w swojej książce *Strategie życia* napisał, że w całej historii ludzkości nasze czasy to era największego dobrobytu. Trudno się z tym nie zgodzić, patrząc z punktu widzenia człowieka Zachodu. Nie ma głodu, nie ma wojen, każdy ma dostęp do edukacji i opieki medycznej. Każdy obywatel ma gwarancję równych praw i swobodę wyznawania wybranego światopoglądu. Każdy ma też swobodę poruszania się po całym globie. Jest bezpiecznie i nie ma większych ograniczeń. Jednym ze skutków tego quasi-raju jest brak poczucia wspólnego zagrożenia, które przez wieki nas integrowało. Nasi bohaterowie ciągle jeszcze są herosami czasu wojny. Czczymy ich czyny, niektórych wydobywamy z zapomnienia albo przekłamań najnowszej historii, jak rotmistrza Witolda Pileckiego, o innych się spieramy, czy faktycznie zasługują na pomniki, jak ostatnio podnoszeni żołnierze wyklęci. Nie umiemy przełamać naszej mentalności i jej podstawowego skojarzenia, że patriotyzmu dowodzi się w walce.

Lecz dzisiaj patriota nie ma okazji wykazać swej miłości do ojczyzny na polu walki, w konspiracji, w biernym lub czynnym oporze przeciwko jakiejś narzuconej, obcej władzy. Trudno dzisiaj dokonać spektakularnego aktu poświęcenia dla narodu i zostać bohaterem – bezdyskusyjnym patriotą. Nie ma w ogóle potrzeby poświęcania się.



Rotmistrz Witold Pilecki, przed 1939 r.

Z drugiej strony, co to znaczy kochać swoją ojczyznę? Naszą ojczyzną jest Polska w obecnych granicach. Te granice wytyczyli za nas obcy, odbierając domy rodakom na wschodzie naszego przedwojennego terytorium i Niemcom – na zachodzie naszego obecnego terytorium. Mówiło się, że Polska wraca do macierzy, że to prastare polskie ziemie „odzyskane”. Jednak w 1945 roku, były tak prastare, że od wieków niemieckie. Z kolei nasze ziemie „utracone” w prastarości może i nie były polskie, ale zdążyły się na nich wychować dziesiątki pokoleń Polaków, uznając je za swoją ojczyznę. Czy Wołyniacy pokochali Śląsk Opolski? Lwowianie Wrocław? Nie wiem. Czy ja, choć w historii mojej rodziny nie ma dramatu przesiedlenia, Kocham Bydgoszcz, w której się urodziłam? Nie odczuwam, prawdę mówiąc, aż tak gorących uczuć, nawet tęsknoty z powodu wyprowadzki. Albo tak odległe Szczecin, Rzeszów, Kraków? Nie mam z tymi miastami żadnych

związków, poza jednym: leżą w granicach mojego kraju. Myślę, że ojczyzna to nie miejsce, a ludzie, z którymi odczuwa się wspólnotę, najczęściej sąsiedzi – mieszkańcy wsi, osiedla, miasta, regionu. To zawęża obszar geograficzny i dzisiaj chyba należy mówić o „małych ojczyznach”, tym bardziej, że wspólne sprawy naszego kraju, a nawet kontynentu, stały się przedmiotem polityki, a polityka z definicji nikogo i niczego nie łączy, wręcz przeciwnie. W tym kontekście patriotą nowych czasów jest człowiek, który chce działać dla dobra swojej wspólnoty. Dzisiaj ofiarny patriotyzm czasów walki musi ustąpić miejsca – może i mniej efektownemu, za to efektywnemu – patriotyzmowi lokalnemu. Wspólnota, siłą rzeczy, jest mniejsza, a jej dobro to bezpieczny rozwój, to łagodne przejście w nową jakość życia społecznego.

Wschodzi nowa kultura i być może z tego powodu zawężamy krąg swojej aktywności do najbliższej okolicy. Tak jakbyśmy w pewnym sensie cofali się do pierwszych plemion, które odczuwały jedność i czerpały siłę ze współdziałania. Odbyna się to, naturalnie, na zupełnie innym poziomie ewolucji człowieczeństwa. Odbyna się to w strukturze gasnącej cywilizacji zachodniej, która do reszty wypaliła energię kultury chrześcijańskiej. Duchowość wyparł pieniądz, siłą dużego państwa zniszczyła polityka, na horyzoncie nie jawi się żaden charyzmatyczny przywódca zdolny porwać i zjednoczyć naród. Nadszedł czas na kulturową innowację.

„Gajos zatknął flagę”, z całym szacunkiem dla Pana Janusza i z pewnym przybliżeniem, w dniu, w którym nasz naród rozpoczął zupełnie nową historię społeczną, z traumą straszliwych zbrodni wojennych i z nowym porządkiem bezklasowym – po raz pierwszy staliśmy się równi. Rewolucja dokonała się i u nas. Jej przebieg był dramatyczny i krwawy, przyniosła kolejne zbrodnie, z których jeszcze nie umiemy się otrząsnąć, jak, wśród tysięcy innych, wyrok śmierci wykonany na rotmistrzu Pileckim. Jednak z dzisiejszej perspektywy jest dla nas niewyobrażalne to, co do 1939 roku było oczywistością: wszechmocny w prawie Pan i nikt-robotnik, nikt-chłop. Przepaść grup społecznych była równie olbrzymia, co w baroku za czasów kwitnącej Sarmacji. Jest taka powieść Wiesława Myślińskiego *Palac*. Rzecz dzieje się

na początku II wojny światowej. Państwo opuścili swoje dobra w popłochu przed nadciągającym wojskiem niemieckim. Do pustego pałacu wchodzi parobek. Z nabożnym lękiem, ale i z niepomahowaną ciekawością zaczyna krążyć po dotąd niedostępnych dla niego „pańskich” przestrzeniach. Dociera do sali jadalnej z suto zastawionym stołem. Jest sam, nikt nie może skontrolować, co robi, a mimo to parobek nie ośmiela się wziąć jedzenia ze stołu. Nawet nie to, że się nie ośmiela, on wie, że pański stół jest nietykalny i w ogóle nie analizuje możliwości jego dotknięcia.

Czy chcemy, czy też nie, jesteśmy konsumentami tej spóźnionej, stalinowskiej rewolucji. Uważamy się za równych i bardzo czujnie strzeżemy swoich praw. Nie mamy przy tym jakiegось powszechnie obowiązującego etosu narodowego. Chrześcijaństwo dość skutecznie zatarło nasze słowiańskie korzenie, Sarmacja się skompromitowała, doprowadzając do ostatecznego i całkowitego rozbioru państwa polskiego, klasa przedwojennych panów zadławiła się własną arogancją, powojenna robotniczo-chłopska siła wiodąca była tworem sztucznym i z gruntu fałszywym, a wyrosłe z niej współczesne partie polityczne nie stanowią elit, nie budzą ani szacunku, ani zaufania. Gdy tak się zastanowić, w drugiej dekadzie XXI wieku niewiele nam zostało elementów historycznych, o ile rozumiemy przez to sięganie daleko w głąb dziejów, budujących naprawdę wspólną, polską tożsamość. Zmierzam do tego, że paradoksalnie jesteśmy młodym narodem i jednoczy nas współczesność oraz kolekcja wydarzeń drugiej połowy XX wieku. Świadomość historii narodu jest niezwykle ważna, ale – znowu – zaczęliśmy się koncentrować na historii lokalnej, związanej bezpośrednio z naszym miejscem zamieszkania, z naszą własną wspólnotą. Nie znaczy to, że mamy się teraz zamykać w grodach i podgrodziach, to już nie ten etap. Jesteśmy Polakami i odczuwamy wspólnotę na wielu płaszczyznach – my z Gdańska, my z Warszawy i my ze Śremu i okolic. Widać to bardzo wyraźnie, gdy nasi sportowcy wygrywają międzynarodowe turnieje. Łączy nas duma i radość, a biało-czerwona – nie macie Państwo takiego wrażenia? – właśnie tam, na tych stadionach, skoczniach czy trasach przejazdu jest najbardziej na miejscu. Tam nas wyróżnia, tam staje się symbolem szczęśliwego narodu, który wydał zwycięzcę



Adam Małysz na turnieju w Holmenkollen, Oslo, 2010 r.
Foto: Erlend Bjørtvedt

albo po prostu zawodnika, który jest zdolny walczyć o prymat w swojej dyscyplinie. Elementów skalających jest naprawdę wiele. *Cztery pancerni i pies*, Adam Małysz, Papież-Polak... Setki piosek, filmów, dowcipów. Wszystkie nasze przełomy, nasze ostatnie dekady – a każda inna. Pewien zaprzyjaźniony Francuz zapytał mnie kiedyś z ogromnym zdziwieniem, dlaczego w Polsce każdy go pyta o wiek. Myślę, że właśnie przez te „dekady” – dla nas jest ważne, czy urodziłeś się za Gomułki, Gierka, Jaruzelskiego, po przemianie czy jednak przed. Czy, gdy rzucasz hasło „Chcesz cukierka?”, odbiorca zna odzew.

Jako młody naród mamy ogromny potencjał i możliwość szybszego rozwinięcia u siebie tej nowej, lokalno-globalnej kultury. Musimy tylko utrzymać właściwy dystans do dalszej przeszłości, zrozumieć, że nie do końca ma wpływ na teraźniejszość. Musimy też zacząć bardziej „robić swoje”, do czego namawiał nas nieodżałowany Wojciech Młynarski.

Katarzyna GWINCIŃSKA

Tajemnica, miłość i skarb

Z górnej półki

Na początku lat dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku, pewnemu młodemu człowiekowi, gdzieś hen, na norweskiej wsi, umiera dziadek, który go wychowywał. Chłopak zostaje sam w prosperującym gospodarstwie otoczonym przez barwnie kwitnące pola ziemniaków. Pojawia się Hanne, dawna, niezapomniana miłość. Wydawałoby się koniec historii. Tymczasem powieść dopiero się zaczyna.

Młody Edward żył do tej pory niejako w uśpieniu, targany tłumionymi wątpliwościami i niepewnością – kim jest? Skąd pochodzi? Kim byli jego rodzice? Dlaczego umarli? Wie tylko jedno – osierocili go, trzyletniego chłopczyka, ginąc w nieprawdopodobnie tajemniczych okolicznościach w północnej Francji. Jego samego zaś odnaleziono dopiero cztery dni później, w odległej miejscowości. Co się wtedy stało i dlaczego? Pytanie to, głęboko skrywane, towarzyszy mu przez całe dotychczasowe młode życie, jednak pozostaje bez odpowiedzi z powodu niechęci dziadków do poruszania tematu. Małomówni i skryci starsi ludzie uważają bowiem, że trzeba iść naprzód, nie oglądając się na cienie przeszłości. Jednak po ich śmierci pytania dopadają Edwarda ze zdwojoną siłą. Postanawia wyruszyć w podróż śladami swoich umarłych bliskich: na Szetlandy, do Szkocji, do północnej Francji.

Powiedzieć, że druga powieść Larsa Myttinga, autora bestsellerowego *Porq̃b i spal*, jest rzeczą o poszukiwaniu tożsamości, to trochę za mało. Podczas swojej wędrówki Edward nie tylko poznaje świat, dotąd jemu, chłopakowi z zapadłej wsi, kompletnie nieznaną. Odkrywa też, oczywiście, samego siebie – ukryte pragnienia i lęki wychodzą na powierzchnię w różnych momentach

jego peregrynacji. Jednak książka Myttinga to jeszcze historia samej Norwegii, rozdartej podczas drugiej wojny światowej na zwolenników Hitlera i przeciwników faszyzmu. Podziały często przebiegały poprzez rodzinę czy wieś, niewybaczalne, trwałe i bolesne jeszcze dziesiątki lat po wojnie.

Mamy też tutaj kilka osobnych wątków, historii ludzkich, jak romantyczna ballada o pięknej fryzjerce i telefonie, czy dramat Einera – niesłusznie oskarżonego o zdradę stolarza-artystę, naprawiającego rzeźbionych Chrystusów w zniszczonych kościołach powojennej Europy. Zdruzgotane wojenną zawieruchą nadzieje i plany. Przepięknie Lars Mytting buduje te pojedyncze historie i wplata w losy młodego podróżnika.

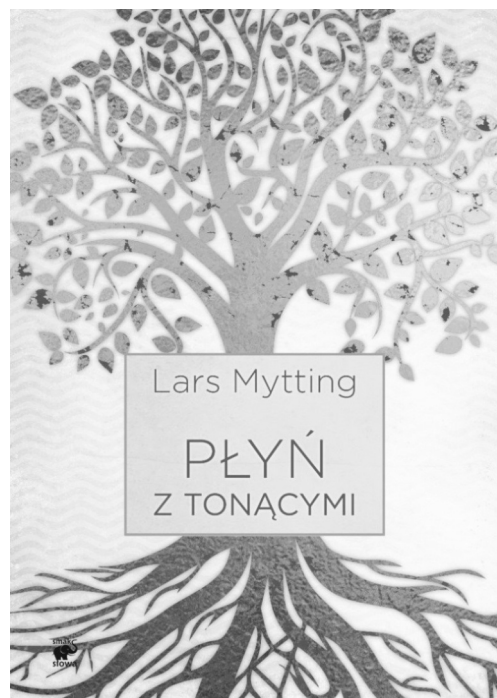
Realia drugiej połowy XX w., czasu, kiedy dzieje się akcja, zostały wiernie oddane, a czytelnik z przyjemnością do niego powraca. Cieszą liczne dygresje do utworów muzycznych z tamtych lat, nagrywanych jeszcze wtedy na winylowych krążkach. Wątek miłosny zawiera staroświecki, wydawałoby się, dylemat mezaliansu – związku osób z kompletnie innych środowisk. Nowa dziewczyna Edwarda, Gwen, jest spadkobierczynią „starych brytyjskich pieniędzy”, on sam – potomkiem prostych rolników. Przy okazji dowiadujemy się więc jak powinien wyglądać i zachowywać się brytyjski gentelman, a nawet – jak musi zawiązywać sznurowadła. Edward, kiedy musi, korzysta z budki telefonicznej na monety. Budka stoi na rozdrożu dróg, gdzieś na surowych Szetlandach, targana wiatrem i zalewana deszczem... Wprawdzie osamotnienie naszego wędrowca wydaje się przez to jeszcze głębsze, jednak starszych czytelników może wtedy ogarnąć nie-

pohamowana tęsknota za na zawsze utraconym „dawnym światem”, w którym łatwiej było uciec, bezkarnie zaszyć się na jednej z dzikich plaż, zaś młodzi zakochani ludzie patrzyli sobie w oczy, a nie w swoje iPhone’y.

Książka Larsa Myttinga, mimo pojawiającego się czasami sennego nastroju rodzinnej sagi, tak popularnej w norweskiej prozie, ani razu nie wydała mi się nudna. Wręcz przeciwnie. Spowijająca ją od początku tajemnica, odkrywana krok po kroku, nie pozwala się czytelnikowi za bardzo od książki oddalić. Mamy tu romans, tak ciężki od sekretów, że nie wiadomo jak się skończy. Jest też ukryty skarb, bardzo wartościowy, którego poszukiwanie staje się dla bohaterów niemal równie ważne, jak próba zrozumienia i odkrycia rodzinnej tajemnicy. Słowem – powieść Larsa Myttinga, mimo pewnych nierówności, które łatwo jest wybaczyć, to znakomity materiał na wakacyjną lekturę *prima sort*.

Osobiście bardzo żałuję, że książka ta nie wpadła mi w ręce na jakiejś plaży z widokiem na poszarpane wzgórza i gęsty las.

J. A.



Lars Mytting, *Płyn z tonącymi*,
wyd. Smak Słowa, Sopot 2016

KWESTIONARIUSZ KULTURY



nys. U. Łukomska

Zbigniew Hoppe

Rocznik 1950. Zodiakalny Lew. Śremianin od kilku pokoleń. Wnuk powstańca wielkopolskiego. Absolwent śremskiego LO. Niedokończony prawnik. Emerytowany policjant. Pomysłodawca i moderator cyklu Pasjonaci. Zapalony kibic Kolejorza. Żonaty. Syn – Bartosz.

1 Kim jestem...
Starszym panem.

**2 Co jest najważniejszym osiągnięciem
mojego życia...**
Założenie rodziny.

3 W czym jestem dobry...
We wszystkim po trochu.

4 Co jeszcze chcę osiągnąć...
To, co do tej pory osiągnąłem, wystarcza mi.

5 Co chcę w sobie zmienić...
Parę rzeczy, ale mam już za mało czasu przed sobą.

6 Co daje mi szczęście...
Bycie normalnym człowiekiem.

7 Najważniejszy dzień w moim życiu...
Było ich kilka, ale narodziny syna przewyższają wszystko.

8 U przyjaciół najbardziej cenię...
Lojalność.

9 Bohaterstwo to dla mnie...
Bycie uczciwym i sprawiedliwym w każdej sytuacji.

10

Epoka, w której chciałbym żyć...

Renesans.

11

Największym nieszczęściem byłoby dla mnie...

Brak muzyki, książek, kina i prasy.

12

Najcenniejsza rzecz jaką posiadam...

To nowojorskie wydanie płyty Beatlesów, z ich wizerunkiem na okładce.

13

Moja największa wada...

Skłonność do mówienia za dużo.

14

Główna cecha charakteru...

Sam nie wiem.

15

Moje motto życiowe...

„Wiedzieć ciągle więcej”.

16

Ulubiony dźwięk...

Dźwięk dzwonka z młyna moich pradziadków.

17

Dźwięk, który mnie denerwuje...

Jazgot polityków.

18

Nie mógłbym żyć bez...

Muzyki.

19

Co wzbudza we mnie lęk...

To, że jesteśmy tak podzieleni jako Polacy.

20

Moje ukryte marzenie...

Być pianistą jazzowym.

21

Dar natury, który chciałbym posiadać...

Umieć malować.

22

Zawsze śmiesz mnie...

...i oburza brak wzajemnej tolerancji.

23

Słowo, którego nadużywam...

Piękne.

24

Zdanie o mnie, które zapamiętałem...

„Rób to dalej, to nam się podoba”.

25

Myśl, która pojawia się gdy nie jest najlepiej...

Nadejdzie jeszcze dzień, który wszystko zmieni.

26

Osobie bliskiej nigdy nie wybaczę...

Niedotrzymanych obietnic.

27

Wolność to dla mnie...

Móc swobodnie wyrażać swoje opinie na każdy temat.

28

Kim chciałbym być gdybym nie był tym kim jestem...

Już nie dam rady być kimś innym – chcę zostać sobą.

29

Obecny stan mojego umysłu...

Uważam, że niezły on jeszcze jest.

30

Kim chcę zostać w pamięci innych...

Zbyszkciem od muzyki i kina.

NASZTALENT : Jan Mazurczak



JAN MAZURCZAK

Rocznik 1987. Urodzony w Poznaniu. Absolwent śremskiego LO. Studiował w Warszawskiej Szkole Filmowej. Niezależny twórca aplikacji na iOS. Mieszka i pracuje w Poznaniu.
www.janmazurczak.pl

Tym razem chciałabym przedstawić Państwu Talent „nietypowy” i nieco „tajemniczy”. Nietypowy, ponieważ dziedzina, w której porusza się Jan, choć popularna, dla przeciętnego człowieka jest jednak nieco niedostępna i zamknięta.

Zacznijmy od początku...

Po ukończeniu śremskiego liceum zdecydował się na studia w Warszawskiej Szkole Filmowej, do której dostał się, wygrywając konkurs – uznano go za najbardziej obiecujący „materiał” na reżysera. A więc studia, pisanie scenariuszy, marzenia o kręceniu filmów, parę zrealizowanych pomysłów... Nadziś to już etap zamknięty. Jak mówi, był to tylko epizod po drodze do tego, czym zajmuwał się właściwie od zawsze i czym zajmuje się teraz

zawodowo.

Ale po kolei.

Już w szkole podstawowej pasjonowało go tworzenie gier komputerowych, z początku prostych i mało skomplikowanych pod względem warsztatowym i sprzętowym. I to właśnie te umiejętności i zainteresowania doprowadziły go do punktu, w którym znajduje się teraz. Zaczął od bycia niezależnym developerem aplikacji – był rok 2009, czas, kiedy takie aplikacje zaczęły się dopiero pojawiać. App Store – internetowy sklep – został otwarty w 2008 roku, a Jan już od 2009 umieszczał w nim swoje produkty, które zaczęły być kupowane na całym świecie, i machina ruszyła.

Pomysłów nigdy mu nie brakowało, wiedzy i umiejętności żeby je realizować również. Jednym z pierwszych pomysłów było stworzenie aplikacji umożliwiającej dodawanie większej liczby załączników do maili wysyłanych za pomocą systemu iOS, ponieważ wtedy system tego nie przewidywał. Była to więc odpowiedź na konkretną potrzebę, i, choć po pewnym czasie w systemie zostało to już uwzględnione, aplikacja była nadal pobierana. Stworzenie tej aplikacji zajęło mu około tygodnia. Jest to o tyle ciekawe i ważne, że słowo „tydzień” będzie pojawiało się tu jeszcze nie raz. Niedługo potem powstał *Finger Cut* – nieskomplikowana aplikacja, którą Jan stworzył, by poznać system, możliwości i sprawdzić odbiorców. I sukces – od 2009 r. programik pobrano miliony razy. „To trochę przygnebiające – mówi – że właśnie *Finger Cut* jest tak popularny, że cieszy się takim zainteresowaniem”. I znowu tydzień – tyle czasu zajęło mu stworzenie aplikacji.

Bycie niezależnym twórcą, możliwość prezentowania pomysłów milionom użytkowników na ca-

łym świecie, obserwowanie zainteresowania to niewątpliwe korzyści bycia niezależnym, ale praca w zespole przy dużych projektach to wyzwanie – kto wie, czy nie większe...

Przez wszystkie lata stworzył wiele aplikacji – w tym najpopularniejsze: *Wear*, *Sig*, *Push and Pull*, *Amama*, *3-boxes*, *Grainee*.

<https://itunes.apple.com/us/app/3-boxes/id344942625>

<https://itunes.apple.com/us/app/amama-face-stickers-creator/id1134186976>

<http://wear.janmazurczak.pl>

<https://itunes.apple.com/us/app/grainee/id1006601956>

<https://itunes.apple.com/us/app/push-and-pull/id969109365>

<https://itunes.apple.com/pl/app/multiple-attachments/id813972747>

<https://itunes.apple.com/pl/app/sig/id358548728?mt=8>

Kocha sam proces tworzenia, wymyślania i realizowania. Czasem tworzy projekty, o których wie, że nie zostaną dokończone, dla samej przyjemności tworzenia i eksperymentowania.

Parę lat temu został poproszony o poprowadzenie na Politechnice Poznańskiej zajęć dla studentów informatyki, którzy chcieli uczyć się programowania na iOS. Wspólnie tworzyli aplikacje, poznawali system i jego możliwości. Teraz niektórzy potrafią już samodzielnie tworzyć własne aplikacje i pracować w systemie iOS.

A z rzeczy ostatnich? Od 2016 r. współpracuje z łódzką firmą ShootCapsule nad ogólnosiątkowym projektem „kosmiczno-księżycowym”, którego finalnym efektem ma być umieszczenie na księżycu ołowianej skrzyni. W skrzyni zamknięte będą cyfrowe nośniki z plikami i fotografiami od użytkowników z całego świata i urządzenia do ich odtworzenia. Cały czas trwa zbieranie fotografii. Równolegle, we współpracy z zespołem, powstaje gra społecznościowa, według jego projektu, która jest rozrywkowym uzupełnieniem poważnego „kosmicznego” projektu.

Na koniec pojawi się znowu magiczne słowo „tydzień”. Ostatni pomysł Jana to #NewAppEve-

ryWeek – pomysł „zakrecony” i prawie niemożliwy do zrealizowania. Ale dla niego nie ma rzeczy niemożliwych – lubi wyzwania i lubi się z nimi mierzyć, i jeszcze bardziej lubi wygrywać – to znaczy przyglądać się zrealizowanemu pomysłowi, patrzeć jak się rozwija, udoskonalać go. Tworzenie co tydzień nowej aplikacji, gotowej do użytku to nie lada wyzwanie. Ale kto, jak nie on, może temu podołać? Pomysłów mu nie brakuje, będzie musiał jedynie odłożyć na bok te bardziej ambitne, skupić się na najprostszych elementach, które dadzą złożyć się w tak krótkim czasie w interesującą całość. Pozostaje nam jedynie przyglądać się i kibicować – często, jak nie raz się przekonał, właśnie te proste, nieskomplikowane aplikacje są najbardziej popularne.

PS. Dla niewtajemniczonych: iOS – to system operacyjny Apple Inc. dla urządzeń mobilnych iPhone, iPod touch oraz iPad.

JESTEM... programistą.

CHCIAŁBYM... być gwiazdą rocka.

MYŚLĘ... o wiele za dużo.

INSPIRUJEMNIE... wizja podróży kosmicznych.

POTRAFIĘ... się dogadać z kotami.

LUBIĘ... zakrety.

MUSZĘ... wciąż refaktorować.

ŻAŁUJĘ... że ludzie jedzą zwierzęta.

BOJĘ SIĘ... że trafię gdzieś, gdzie można płacić tylko gotówką.

Ewa NOWAK
Foto: arch. J. Mazurczaka

Martwe wody

Kino niewidzialne, czyli Notatki o filmach...

mało znanych, zapomnianych, trudno dostępnych, egzotycznych, nietuzinkowych, a przede wszystkim o filmach wartych obejrzenia

*Nie da się wzruszać ramionami, kiedy mówi się, że w sztuce wszystko już było i to zbiór skończony. Postacią, która uprzedza przed przedwczesnym pisaniem nekrologu dla zaskoczeń w kinie, jest Bruno Dumont. Wobłędny, ekspresyjny i stylizowanym na wręcz afektywny, show *Martwe wody*, wysuwa postulat, że reżyser jest ograniczony wyłącznie własną wyobraźnią. A ta, na szczęście, jest nieograniczona!*

Kto nie widział poprzedniej produkcji Brunona Dumonta, miniserialu *Mały Quinquin*, raczej nie domyśla się, że Francuz potrafi być zabawny, a jego kino nie musi zostawiać widza w poczuciu egzystencjalnej pustki i zadumie nad przyszłością laickiej Europy. Otóż potrafi. *Martwe wody* to komediowa perełka.

Mamy 1910 rok, północne wybrzeża Francuskiej Flandrii. Główny bohater młody Ma Loute Brufort wraz z ojcem zajmuje się zbieraniem muli i przeprowadzaniem przez rzekę tych, gotowych zapłacić, by nie ubrudzić swoich bogatych szat. Są to najczęściej bogaci mieszkańcy innych rejonów Francji, tak zwani turyści. W tej samej wiosce na wzgórzach położona jest letniaposiadłość rodziny Van Peteghemów. A ci z kolei to prawdziwi arystokraci, w których żyłach płynie błękitna krew. Są prawie bez wyjątku zdeprawowani, w większości zdegenerowani, nieustannie zblazowani, a niektórzy nawet garbią się i jękają. A przy tym są obrzydliwie bogaci. Latem uwielbiają zaszywać się w swojej okazałej nadmorskiej rezydencji, spędzając czas na wspominaniu chwalebnej przeszłości, zachwycaniu się niewinnością rybaków i zbieraczy muli, próżnowaniu i zaspokajaniu swoich dekadencckich zachcianek. Jednak nawet Van Peteghemowie, którzy widzieli już prawie wszyst-

ko, nie są gotowi na to, co zdarzy się w okolicach ich letniej posiadłości. Otóż z miejscowych plaż zaczynają znikać ludzie. W tajemniczych okolicznościach, w białą dzień, do tego bez śladu. Sprawą niewyjaśnionych zniknięć zaczynają się zajmować dwaj ekscentryczni inspektorzy policji, słynący z niekonwencjonalnych metod pracy. I w dodatku wyglądający jak Flip i Flap.

Pobieżne naszkicowanie fabuły nie oddaje impetu, z jakim Dumont wprowadza widzów w ten dziwaczny świat. Na styku komedii absurdu stylizowanej na belle epoque, obrazy w tym filmie to satyryczny przegląd różnych grup społecznych. Arystokraci przeginają się bez opamiętania i akcentują każdy wyraz w każdym zdaniu, autochtoni siedzą nad garem i obgryzają ludzkie kończyny. Otyły policjant turla się po wydmach, a zanurzony w piasku wrak statku przypomina wielkiego lewianta. Dumont miesza porządki baśni, dworskiego romansu oraz dzikiej ślapstickowej komedii. Gag goni gag, aktorzy grają w świadomie przeszarżowanym stylu, reżyser nieustannie odwołuje się do klasyki kina, z komediami Jacques'a Tati na czele (ale nie tylko). Ale w tej przewrotnej wiwisekcji francuskości kryje się również krytyka społeczna. Obraz własnej, nieświadomej śmieszności arystokracji, jej arogancji, nieustannego budowania murów między klasami.

Martwe wody podbiły serca francuskiej publiczności. To film ekstrawagancki, surrealny, pełen absurdu, a jednocześnie precyzyjny i wysublimowany. Zobaczmy, czy równie mocno się spodoba w Polsce. Jeśli lubicie czarny humor i piękne kadry w filmach, biegnijcie do kin już w maju!

Joanna CHMIELEWSKA



Martrwe wody (Ma Loute)
reżyseria: Bruno Dumont,
scenariusz: Bruno Dumont,
kraj produkcji: Francja, Niemcy,
data premiery: 13 maja 2016 (świat),
12 maja 2017 (Polska),
gatunek: czarna komedia,
czas trwania: 122 min.

Fotosy: materiały prasowe

Dom – co to znaczy?

Okiem belfra

Każdy z moich uczniów ma dom. Banalny wstęp? Być może. Ale za tym zdaniem kryje się wiele treści. Można to zdanie wypełnić bardzo pozytywną energią. Można też, niestety, odkryć, jak wiele zła i bólu w nim tkwi. Dom. Trzy litery i milion znaczeń.

Najpopularniejsze stacje telewizyjne prześcigają się w programach proponujących ciekawe pomysły na odnowienie domu i mieszkania. Możemy przeprowadzić w swoich czterech ścianach kilkudniową rewolucję i odmienić wygląd naszego rodzinnego gniazda. Prowadzący te popularne programy prześcigają się w pomysłach na urządzenie wnętrza oryginalnego, modnego, designerskiego. Okiem kamery śledzimy przemiany i po kilkunastu minutach widzimy wnętrze nie do poznania. Wspaniałe meble, modne szarości na ścianach i gospodarze domu – zadziwieni, wzruszeni, spoglądający na swój dom cudzymi oczyma. Będę szczerza – uwielbiam te programy. Czary mary i dom powstaje w zasadzie na nowo. Przyznam się uczciwie – nie raz i nie dwa płakałam razem ze wzruszonymi właścicielami odmienionych domostw. A potem spoglądałam na własne cztery kąty i rozmyślałam. Co można by zmienić, co odnowić? Na początek – odgruzować mieszkanie. I tu pojawia się problem. Biorę do ręki kolejne bibeloty, które zgodnie z radami projektantów wewnątrz powinny zniknąć, bo jedynie zagracają pomieszczenia. A ja nie potrafię ich wyrzucić, bo to nie tylko stare rzeczy. To tak naprawdę nośniki historii. To łączniki międzypokoleniowe. Tyle wspomnień, tyle uczuć...

Dom to miejsce, z którego wyrastam. To tu stawiam pierwsze kroki, uczę się pierwszych słów. To tu pojmuję, co jest dobre, a co złe. Właśnie w domu wchodzę w pierwsze międzyludzkie rela-

cje. Jestem silnym i szczęśliwym człowiekiem, bo startowałam w dorosły świat z dobrego domu. Być może w domu nie zawsze się przelewało, ale to nie dobra materialne decydują o jego wartości. To był (i wciąż jest) dom, w którym nauczyłam się szacunku dla innych ludzi. Dzięki temu dziś sama tworzę dom dla moich dzieci. Dom, w którym być może podłoga nie zawsze jest perfekcyjnie czysta, a okna czasem aż się proszą o czyszczenie. Natomiast w tym domu nie brakuje miłości, zrozumienia, czasu na wspólną pracę i zabawę. Chciałabym, aby moje dzieci wyruszyły w dorosłość z takim samym bagażem jak ja.

Spoglądam na moich uczniów i wiem, że są wśród nich tacy, którzy przyszli dziś do szkoły z kanapkami przygotowanymi z miłością. Ale są też tacy, którzy nie mogą liczyć ani na miłość, ani na kanapki. Są dzieci, które po skończonych zajęciach biegną do domu, by dzielić się z najbliższymi swymi sukcesami i liczyć na ich wsparcie, gdy nie udało się sprostać jakiemuś wyzwaniu. Bywają też i tacy uczniowie, którzy sami muszą zmierzyć się ze światem. Czy powinno mnie to interesować? Czy nauczyciel i wychowawca powinien myśleć o takich szczegółach? Oczywiście. Nie dam tym dzieciom domu i dobrych rodzinnych wspomnień, ale mogę ich przekonywać, że mimo złych doświadczeń powinni zadbać o swoją przyszłość i budować dom, w którym znajdzie się miejsce na miłość, szacunek i zrozumienie. Czy to moje zadanie? Oczywiście. Nasi uczniowie mogą za dziesięć lat nie pamiętać, w którym roku urodził się Mickiewicz. Ale powinni pamiętać, co to znaczy być dobrym człowiekiem.

Katarzyna GRZEGORCZYK

AKT przedstawia Hamleta

No, źle się dzieje. W państwie duńskim. Bo jak by na to nie patrzeć, *Przedstawienie Hamleta we wsi Głucha Dolna* Chorwata Ivo Brešana ma właśnie ten szekspirowski wymiar. Akcja sztuki rozwija się równolegle, jak teatr w teatrze, aż w końcu stapia się w jedno, historia księcia Hamleta i dalmatyńskiego wieśniaka Jocy Soko. Jeden i drugi walczy o honor ojca z cyniczną władzą, bezwzględną dyktaturą. Im bardziej wychodzą na jaw ciemne sprawki rządzących, tym mniej przyjaciół ma ten sprawiedliwy. I szczęśliwego zakończenia nie będzie.

A rzecz ma się tak. Aktyw Frontu Narodowego we wsi Głucha Dolna zajął się zagadnieniem podnoszenia kultury. Najbardziej przypadł im do gustu pomysł jakiegoś przedstawienia w wykonaniu

własnym. Szczęśliwym trafem coś do powiedzenia na ten temat ma niejaki Šimurin, który, będąc w Belgradzie za sprawą służbowego transportu wina, został przez gospodarzy zaprowadzony do teatru. I tu zaczęła się barwna opowieść co tam się na scenie działo. Nauczyciel Škunca odgaduje, że chodzi o dramat Szekspira *Hamlet*. Jego twierdzenie, że jest to dla nich zadanie zbyt ambitne, budzi oburzenie zebranych. Zapada decyzja – wezmą na warsztat właśnie tego „Amleta”, bo sroce spod ogona przecież nie wypadli. Rzecz zostaje rozpisana na role i zaczynają się próby.

Śmiejemy się na tej sztuce właściwie od początku do końca. Jej komizm polega na zderzeniu tekstu Szekspira z mentalnością wiejskiej, nieokrzesej społeczności, wzniosłości z trywialnością. Choć



właściwie do śmiechu tu za wiele nie ma. Kręctwo, oszustwo, zamordyzm powoli się obnażają. Wysłanie do więzienia ojca Jocy za niepopelnioną przez niego defraudację spółdzielczych pieniędzy jest równoznaczne z podstępym zabójstwem duńskiego króla. Bo pogrążony przez fałszywe zeznania księgowy, popełnia samobójstwo. Role wieśniaków i dworaków są paralelne. Przewodniczący spółdzielni to król Klaudiusz, kierownik produkcji – jest Laertesem, przewodniczący zarządu – Poloniuszem, jego córka Andzia – Ofelią, syn księgowego Joca – królewiczem Hamletem, bufetowa Majkaca – królową Gertrudą.

Pierwowzór sztuki skromnego nauczyciela z Šibenka odnosi się do powojennej sytuacji byłej Jugosławii, czasu instalowania się nowego reżimu. Założycielski mit zasług partyzanckich staje się przepustką do panoszenia się różnej maści kacyków, nie krępujących się żadnym prawem. Od prapremiery w 1971 roku sztuka była chętnie grywana w krajach tak zwanej demokracji ludowej, a dwie jej polskie inscenizacje – w Teatrze na Woli z Tadeuszem Łomnickim i telewizyjna z Januszem Gajosem – weszły do historii polskiego teatru. Widzowie znali na wylot wszelkie aluzje i reagowali błyskawicznie na kwestie padające ze sceny.

Ivo Brešana okrzyknięto pisarzem politycznym, choć jego utwór ma też znaczący wymiar psychologiczny i społeczny. Dlatego nie ucierpiał, kiedy w inscenizacji zespołu AKT, czyli Teatru u Nowaków, zmieniono pewne realia. I tak mamy spółkę i jej prezesa, już nie w chłopskiej kamizeli lecz w garniturze. Gesty nie są tak obszerne i chamskie. Odtwórca tej roli Tomasz Buchwald jest upozywany na człowieka biznesu, zawsze opanowanego. Ale wystarczy skinienie, a bufetowa Majkaca przybywa, a to z butelką, a to z zakąską. Prezes nie krzyczy, nie podnosi głosu, słucha z uwagą, która pozwala mu na wykonywanie bezbłędnych ruchów, uzależniania wszystkich od siebie i swoich ciemnych interesów. Panuje nad sobą nawet wtedy kiedy Joca oskarży go o defraudację i zrzucenie winy na niewinnego ojca. No, cóż – pomieszało mu się w głowie z tego nieszczęścia, biedny Joca, musimy go zrozumieć... – powie. Jest też ten mit założycielski – prezes ma zasługi styropianowo-ulołkowe i nikt nie śmie tego kwestionować, choć

wiadomo jak to jest naciągane. Jest to nam znane, jakby to było zaledwie wczoraj. A i dzisiaj to kombatanctwo ma swoje istotne znaczenie.

Skupiam się na roli prezesa Bukary, bo od niego rozwija się wszelkie przedstawione tu zło, jak od szekspirowskiego króla. A Tomasz Buchwald naprawdę potrafi wczuć się w każdą postać, którą grał do tej pory. Różnica osobowości została uchwycona w ugrzecznionej postaci kierownika produkcji granej przez Bogdana Włodarczaka. To rola znacząca, bo jest odniesieniem działań Bukary. Tak więc on, wraz z Jackiem Nowakiem w roli przewodniczącego zarządu, tworzą zasadniczą całość tego „my”. Po drugiej stronie Joca – Jacek Skrzypczak. No, kimże on jest, co to za przeciwnik? Młodziak, fizycznie osilek, rockowiec z kitką ale neptek. Niech lepiej coś zaśpiewa niż wygaduje głupstwa o sprawiedliwości. Wiara pozostałych postaci dramatu jest po stronie silniejszego, to się wie. Nie ugnie się przed tą oczywistością nawet Hanka – Ofelia. Grana przez Natalię Lissek (któż by się lepiej nadawał do tej roli), to uosobienie kruchości. Tak właśnie wyobrażamy sobie Ofelię. Zwłaszcza, jak zderzy się tę postać z mieszkankami Głuchej Dolnej – kobietami pełnymi witalności, a w szczególności Majkacy granej przez Beatę Włodarczak. W ogóle cała ta grupa kobiet, to jakby symbol – społeczność już w pretensjach. Buty na obcasach, modne tuniki, kolorowe czasopisma, ale mężczyźni dla kontrastu jeszcze w gumiakach z częstymi wzmiankami o braku czasu i pilności prac polowych. To się dobrze wpisuje w Breśnowską metodę zderzania, wywołującą taki komiczny efekt. Mamy tu jeszcze Šimurinę – Marka Nowaka – z przypisaną mu rolą narratora i jego suflerkę Šimurinową – Elżbietę Piasecką – oraz nauczyciela, Andrzeja Bukowego. Naprzeciw siebie prostactwo i intelekt. Małgorzata Twardowska (adaptacja i reżyseria) tak to wszystko ułożyła, aby zadania aktorskie współgrały z temperamentem danej osoby, ułatwiając granie i w efekcie tworząc postać przekonującą.

Zresztą prawie szesnastoletnie trwanie Amatorskiej Kompanii Teatralnej w Stolarni Ewy i Marka Nowaków – dają temu niewiele zmieniającemu się zespołowi doświadczenie w pokonywaniu trudności w odtwarzaniu poszczególnych ról. I, jak sięgam pamięcią, właściwie bez błędów obsado-



wych. AKT, w ostatnich latach, co roku daje nowe przedstawienie. Repertuar nieograniczony – od kryminału do Szekspira, od komedii do piosenki. Na co dzień wszyscy pełnią swoje „cywilne” role. Może kiedyś Ewa Nowak opisze, jak rodzi się pomysł na nowe przedstawienie, jak przypisuje się poszczególne role. To wszystko jest na pewno pracą całkowicie i w pełnym tego słowa znaczeniu zbiorową. Pracą osób, które się wzajemnie lubią i inspirują. W każdym przedstawieniu każda z pojawiających się postaci ma jakiś przez siebie wymyślony rys charakterystyczny. Nic dziwnego, przecież AKT tworzą ludzie stanowiący kulturalny zarys naszej społeczności. Można się domyślać, że pomysły rosną właśnie podczas prób jak drożdże. A wiadomo, że bez drożdży ani rusz!

Tu, na tym strychu stolarni potrafię uzmysłwić sobie, jak ważną i naturalną potrzebą człowieka jest możliwość takiej ekspresji. To się czuje niemal fizycznie. Alenie przenoście tego gdzie indziej, bo ten strych i ten teatr oraz ta mała widownia tworzą nierozdzielalną całość i wzajemnie się dopełniają.

A ostatnie Przedstawienie Hamleta we wsi Głucha Dolna to coś wspaniałego dla ducha, dla nastroju, do podziwu.

Barbara NOWICKA
Foto: Adrian Domański

Ivo Brešan, Przedstawienie Hamleta we wsi Głucha Dolna, w wykonaniu Amatorskiej Kompanii Teatralnej – Stalarnia Ewy i Marka Nowaków, Śrem 2017r.

Klasycznie i śpiewnie

Po co wybieramy się na sztuki z repertuaru klasycznego? Znamy treść tych sztuk i ich uniwersalne przesłanie. Wiemy jednak, że ich sceniczny wyraz będzie za każdym razem inny, nieraz zaskakujący. Bo czas pozwala na inne rozłożenie akcentów, odkrywanie znaczeń pomijanych a nagle znakomicie harmonizujących z momentem, w którym teatr mówi. Tu i teraz.

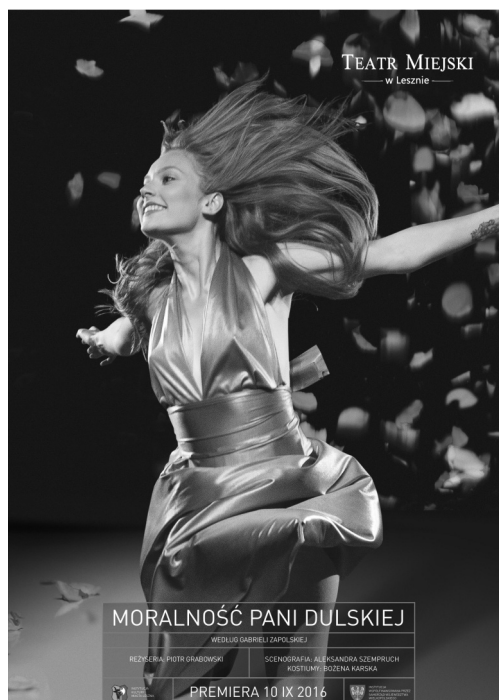
Tak jest w wypadku sztuki *Moralność pani Dulskiej* według Gabrieli Zapolskiej, wystawianej w Teatrze Miejskim w Lesznie. Od pierwszej sceny czujemy się jak u siebie w domu. I tak będzie aż do finału. Bowiem cały czas mamy do czynienia z subtelnym mieszaniem akcentów – znanych i zaskakujących. Tak więc jest mieszczański salon, stół, krzesła, firanki, ale już tylko aneks kuchenny. Za to tapety nadzwyczaj tradycyjne. Panie natomiast na szpileczkach, w kostiumach współczesnych. Jedynie służąca Hanka ma wygląd typowego kopciuszka z początku XX wieku. W tych ramach toczy się ta niezmienna, jak się okazuje, prezentacja obłudy, przedzierania się przez życie *per fas et nefas*, buntu młodego pokolenia. Jednak jest to bunt z którego nie wynika nic budującego. Bo nie ma pozytywnego wzoru. Jest tylko to „pranie brudów we własnym domu”. Są oczywiście jakieś zaskakujące marzenia, jak na przykład to Hesine – być jak Marilyn Monroe, ale nikt nie przekroczy progu odpowiedzialności za swoje życie. Wszystkich w końcu pogodzi telewizor (sic!), wygodna kanapa, nikt do nikogo nie musi nic mówić. Jest spokój. Jak dawniej...

Piotr Grabowski, który reżyserował sztukę i dokonał adaptacji tekstu Zapolskiej, stworzył przedstawienie płynne, akcję zasadzoną na dwóch postaciach: Anieli Dulskiej (Halina Chmielarz)

i ciotki Juliasiewiczowej (Małgorzata Lewińska). Wyraziście zagrane, mocno zarysowują dwie mieszczańskie postawy – nieugięte obłudną i również obłudną ale elastyczną, sprytną i jakby bardziej elegancko opakowaną. W te wąskie ramy wpisani są syn Zbyszko (Adrian Rux) i córki państwa Dulskich Hesia i Mela (Anna Mrozowska, Sandra Drzymalska) oraz senior Felicjan (Artur Janusiak). Podskakują, ale wiadomo, że nie wyjdą poza zakreślone przez nie pole. Lustro, w którym się odbijają to sprawa Hanki (Natalia Klepacka) w prostym wykładzie matki chrzestnej (Sławomira Łozińska). Taki grzech musi być po chrześcijańsku dobrze opłacony. Wszystko można kupić jak się odpowiednio zapłaci.

To przedstawienie dobrze odzwierciedla formułę działania leszczyńskiego teatru – klasycznie ale nowocześnie, jednak bez ryzykownych eksperymentów. Dlatego kierownik artystyczny tej placówki, Beata Kawka, wybrała na jej inaugurację, 10 września ubiegłego roku, właśnie *Moralność pani Dulskiej*.

Ten artystyczny zamiar widać też w układzie repertuaru. Po *Dulskich* obejrzałam *Abonament na szczęście* na postawie piosenek Agnieszki Osieckiej, artystki, której twórczość już „klasyczej” na naszych oczach. Ale reżyser i zarazem autor scenografii, Antoni Dietzius, z piosenek Agnieszki i wątków biograficznych ułożył w całość życie poetki, odsłonił źródła jej poezji. Sprawił, że słowa znanych piosenek zyskały nieznaną dotąd głębię i dramatyzm. Już w prologu słyszemy odgłosy burzy. I takie będzie życie Agnieszki, ze szczęściem spakowanym w walizkach, gotowej do gwałtownych zmian, do przenoszenia swoich uczuć na coraz to inne obiekty, szampańskiej



euforii i rozczarowań. Całe jej niespokojne życie to materia, z której Agnieszka Osiecka tworzyła obraz ludzkiego losu. Z jej tekstów niemal każdy mógł wziąć coś dla siebie jako własne.

W leszczyńskim przedstawieniu cała ta poezja wróciła jakby do domu, do swojej właścicielki. W ten sposób nawet kiedy Ona-Autorka (Beata Kawka) wymyka się ze sceny, to mówią za nią piosenki. A czyni to fantastyczne trio – Anastazja Simińska (Ona 2), Agata Walczak (Ona 3) i Kamil Dominiak (On). Nie tylko wspaniale śpiewają ale i grają te miniatury dramatyczne, jakimi są w gruncie rzeczy teksty Osieckiej. Kierownik muzyczny Tomasz Betka zasiada przy fortepianie, a towarzyszy mu na kontrabasie Andrzej Stolarski. Wszystko na żywo jako dodatkowy walor przedstawienia. Są też wzruszające szczegóły. Na przykład radio. Wiadomo, że Agnieszka miała nawyk włączania radia zaraz po wstaniu. A to jej biurko w artystycznym nieładzie, stare liściki, szpargały, zasuszone kwiatki, wspomnienia, a w zakamarkach schowane co nieco na pocieszenie i dla animuszu. Co rusz się zabiera do porządkowania, ale



albo przeskakującą wspomnienia właśnie albo nowe burze.

Abonament na szczęście w Teatrze Miejskim w Lesznie, to przedstawienie tak piękne, że budzi nieodpartą chęć ponownego oglądania i słuchania. Znam takich, co widzieli je już dwa razy, a chcieliby to jeszcze raz powtórzyć. No, ale miejsca brak. Jak długo *Abonament* będzie w repertuarze, chętnych nie zabraknie. To pewne.

Barbara NOWICKA

Gabriela Zapolska, Moralność Pani Dulskiej, reżyseria i adaptacja Piotr Grabowski, premiera 10 września 2017 r., Teatr Miejski w Lesznie

Agnieszka Osiecka, Abonament na szczęście, scenariusz i reżyseria Antoni Dietzius, premiera 12 listopada 2017 r., Teatr Miejski w Lesznie.

„5 ze sztuki”

Zamiast precyzyjnych notek biograficznych trochę luźnych opowieści

Najtrudniej pisać o sobie i najbliższych przyjaciółach. Ma się wrażenie, że coś istotnego umknie, bo wszystko wydaje się takie oczywiste... Nazwałam tę wystawę i tekst o niej „5 ze sztuki”, bo cyfra ta odnosi się do liczby osób pokazujących swe prace w ramach *Kulturalnej Nocy*, jak i oceny jaką każdy z nas otrzymał na zakończenie studiów w PWSSP (później ASP, obecnie UAP), czyli Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Poznaniu. Ocena bdb była wówczas najwyższa, a wybitnym studentom dopisywano bardzo dobry z wyróżnieniem. Cała nasza piątka ma taki wpis w indeksie i na dyplomie (1970-71).

Znamy się i przyjaźnimy od pół wieku, braliśmy udział w dziesiątkach wystaw i pokazów, ale pierwszy raz udało nam się zorganizować wspólną. Prace demonstrowane w Muzeum Śremskim powstały w różnych przedziałach czasowych, choć w większości w ostatnich latach. Ich autorzy to dwa małżeństwa: Barbara i Grzegorz Marszałkowie, Zofia i Jacek Wolni oraz Urszula Brylewska-Lukomska. Zosia i ja skończyłyśmy malarstwo i tkaninę artystyczną, Basia, Grzegorz i Jacek – grafikę. Kierunek wybrany na studiach na ogół przekładał się na wybór drogi twórczej, ale nie zawsze. Barbara zaczynała od rzeźby, studia kontynuowała na grafice, a najchętniej rysuje i maluje... Zosia i ja zaliczyłyśmy specjalizację z tkaniny unikatowej w pracowni prof. Magdaleny Abakanowicz, przy czym Zosia po studiach współpracowała z prof. Urszulą Plewką nad jej ogromnymi tkaninami do wielu budynków użyteczności publicznej, np. Filharmonii Poznańskiej, klasztoru na Jasnej Górze itp. Natomiast ja zawsze wolałam malować, choć pod koniec lat 70. brałam udział w kilku wystawach tkaniny, m.in. w pokazie Poznańskiej Tkaniny w warszawskiej Zachęcie i du-

żej ekspozycji polskich unikatów w kilku miastach Francji. Otrzymałam wówczas stypendium twórcze Ministra Kultury i Sztuki (1979). Nigdy nie policzyłam w ilu wystawach malarstwa brałam udział, ale na pewno ponad kilkunastu zbiorowych, miałam też kilka kameralnych indywidualnych. Jacek mający na koncie udział w ponad 50 wystawach oraz nagrody i wyróżnienia w konkursach, zajmował się i do dziś zajmuje głównie projektowaniem graficznym (książki, okładki, foldery, plakaty, projekty neonów np. Poznańskie Słowiki). O pracach malarskich Zosi wiem najmniej, zawsze się „ukrywała”. Czasem dołączała do nas malarek w wynajętych pracowniach lub na plenerach. Jej obrazy wskazywały na subtelne

Zofia Wolny Kwiaty polskie



wycucie koloru i pewną kreskę. Wiem, że lubi malować z natury we wszystkich technikach malarskich. Cieszę się, że udało mi się namówić ją na udział w wystawie.

Najbardziej z nas utytułowany i nagradzany jest Grzegorz, profesor zwyczajny i „belwederski” Uniwersytetu Artystycznego w Poznaniu, kierujący od 1999 r. Katedrą Komunikacji Wizualnej poznańskiej ASP, a wcześniej również Plakatu i Ilustracji w Wyższej Szkole Sztuki Użytkowej w Szczecinie, choć pracę jako wykładowca zaczął zaraz po studiach (1971). Nie sposób wymienić, w ilu – ogólnopolskich i światowych – wystawach brał udział. Z wyróżnieniami i nagrodami zaliczył prawie wszystkie prestiżowe Biennale Grafiki (Warszawa, Brno, Lahti, Toyama, Fort Collins, Ogaki), nagrodzony został w Los Angeles, Brnie i Paryżu w latach osiemdziesiątych. Ostatnio otrzymał Złoty Medal na 24. Biennale Plakatu w Katowicach w 2015 r. Zajmuje się plakatem, ilustracją, rysunkiem, grafiką użytkową we wszystkich jej aspektach. Genialnie, wg mnie, rysuje!

Barbarę zawsze podziwiałam za jej precyzję w odtwarzaniu natury w pejzażach, portretach, a także kopiach znanych mistrzów np. Vermeera, gdzie nie tylko wiernie potrafiła odtworzyć pierwowzór, ale i dociekała warsztatu, co w przypadku starych Holendrów jest niezwykle trudne. Jednak najbardziej fascynują mnie jej „artystyczne notatniki” z szybkimi szkicami domowego zacisza np. czytająca córka Agata, śpiący na kanapie Grzegorz czy zwinięta w kłębek Bona, ich zaadoptowany pudel. Cieszę się, że po latach pracy na zamówienia i malowania dla siebie, moja przyjaciółka znów zdecydowała się na pokazywanie tego co potrafi. Basia ma szczególne poczucie humoru i dziesiątki pomysłów. Nie raz pomagała mężowi znaleźć odpowiednią anegdotę do jego rysunków czy plakatów. Jej ostatnie prace rysowane kredką albo pastelem przedstawiają głównie pejzaże leśne w okolicach ich domu, odtwarzają urodę natury przez pryzmat fascynacji i osobistych przeżyć.

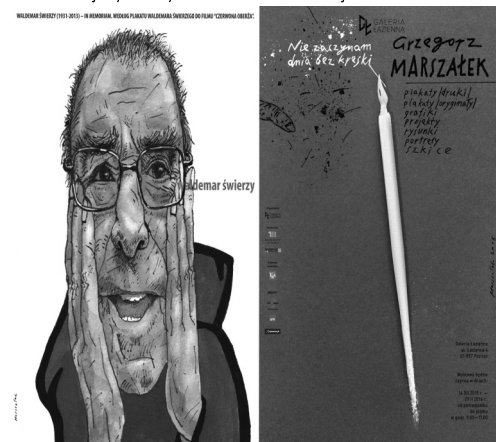
Przez całe dorosłe życie nasze drogi zawsze się przecinały. Barbara, Zosia i Grzegorz przyjechali na studia z Wrocławia, gdzie skończyli Liceum Sztuk Plastycznych, Jacek i Grzegorz pod dyktando zostali asystentami prof. Waldemara Świerzego.

Po kilku latach Jacek zaczął pracować w Liceum Plastycznym w Poznaniu, gdzie dołączył do mnie. Oboje byliśmy nauczycielami przez 30 lat, ja – rysunku i malarstwa, Jacek wystawiennictwa – głównego przedmiotu zawodowego. Z jego żoną Zosią spotkałyśmy się w Akademii Sztuk Wizualnych, ona pracowała na wydziale projektowania ubioru, ja prowadziłam pracownię malarstwa. Nawet Barbara miała swój epizod pedagogiczny, ale po semestrze zmagania się z młodymi plastusiakami, stwierdziła że to „nie jej bajka”. Nasze dzieci poszły w ślady rodziców, wszyscy skończyli ASP. Mój syn Krzysztof i Maja Wolna są wykładowcami na rodzimej uczelni, Agata Marszałek, Magda Wolna i moja córka Patrycja zajmują się głównie projektowaniem graficznym. Wszystkie świetnie rysują, trochę im zazdroszczę... Ja trafiłam na studiach do nieciekawej pracowni rysunku i zamiast doskonalić umiejętności, popadałam w frustrację i uciekałam od problemów. Szeroka plama barwna, szkic nieprecyzyjny, przerysowania i deformacje możliwe w malarskiej sztuce figuratywnej stały się moją metodą... Lubię też symbol i anegdotę, swoistą ilustracyjność, a także pracę nad cyklami tematycznymi. Po „Karnawalach” kontynuuję „Dziwne ogrody”.

Zapraszam na wernisaż podczas **Kulturalnej Nocy** lub odwiedzenie galerii Muzeum Śremskiego w kolejnych dniach.

Urszula ŁUKOMSKA
malarka

Grzegorz Marszałek, kompilacja prac
z ostatniej wystawy w Galerii Korzennej w Poznaniu



**KOBIECA SZTUKA MA WIELE TWARZY,
czyli kilka słów o wystawie
*Niedomknięty krąg. 15+1. Rysunek i malarstwo***

Teoretycy i krytycy sztuki od wieków zastanawiają się, jak sztukę interpretować. Słynny włoski historiograf sztuki, malarz i architekt Giorgio Vasari uważał, że twórczość artysty postrzegać należy przez pryzmat jego życiorysu. Erwin Panofsky doszukiwał się klucza do interpretacji dzieł w opracowanej przez niego Metodzie Ikonologicznej, która składała się z trzech etapów, odsłaniających kolejne warstwy znaczeniowe. Metoda ta bazowała na znajomości symboli i motywów, które łącząc się ze sobą, ukazywały pełne znaczenie danego dzieła sztuki. Wraz z rozwojem form artystycznych, metody interpretacji nabierały coraz to nowych kształtów, często bardzo abstrakcyjnych. W tej interpretacyjnej pogoni i wyścigu teorii, często zapomniano o warstwie czysto estetycznej oraz radości, jaką może sprawiać sam akt twórczy.

Ile przyjemności czerpać można z malarstwa, z pewnością wiedzą uczestniczki zajęć Studia Plastyki Śremskiego Ośrodka Kultury oraz panie ze Stowarzyszenia Inicjatyw Twórczych Po godzinach. W dniach 11-22 marca w Muzeum Śremskim można było podziwiać prace powstałe na przestrzeni ostatniego roku. Kuratorem wystawy była Urszula Brylewska-Łukomska, malarka, która od wielu lat prowadzi Studio Plastyki oraz wspiera stowarzyszenie Po godzinach.

Pomimo różnic między poszczególnymi dziełami, z łatwością można było zaobserwować główny element scalający wszystkie prace – wielką wrażliwość i pasję, jaką towarzyszy tworzeniu.

Same prace, ich styl, tematyka i źródła inspiracji, były tak różne, jak charaktery samych twórczyń. Przy wejściu do galerii, po prawej stronie, znalazły się dzieła Urszuli Brylewskiej-Łukomskiej. Twórczość artystki jest bardzo kobieca i dekoracyjna wręcz w swojej formie. Wplecionej w obraz kobiecej sylwetce towarzyszyły motywy fantastyczne, roślinne i zwierzęce oraz elementy baśniowe. Są to dzieła niezwykle symboliczne, nienarzucające jednej drogi interpretacji. Patrząc na te obrazy, każdy może napisać do nich własną historię.

Po lewej stronie wyeksponowano prace Wandy Jabłońskiej – cztery płótna ukazujące polne kwiaty, przywodzące na myśl łąkę we mgle. Delikatne, niczym koronki, kwiaty przypominały piękny wzór na tkaninie, a kolorystyka wprowadzała widza w nastrój zadumy i melancholii.

Bardzo kontrastowo do powyższych dzieł prezentował się tryptyk autorstwa Natalii Ceglarz, przedstawiający surrealistyczną wyspę, będącą czymś na kształt skomplikowanej maszyny, pełnej krętych schodów, które dynamicznie przeplatają się ze sobą. Wydstać się stamtąd można tylko drabiną prowadzącą ku niebu, albo balonem. Wyraźnie widać tu inspiracje nurtem surrealistycznym, wprowadzającym u widza dezorientację i niepokój, wywołane nieszablonowym zestawieniem elementów.

Następne obrazy, to odrealnione, dynamiczne pejzaże w ognistych barwach pędzla Marioli Kwarty. Obok nich pojawiły się krajobrazy w odświeżonej impresjonistycznej. Anna Radajewska w swoich pracach prezentuje prymat koloru nad formą, kusi widza bujną naturą i mocą, jaką z niej płynie.

W obrazach Haliny Szmyt oprócz nasyconych barw, znajdziemy elementy, które całości nadają witrażowy charakter. Geometryczne, dynamiczne formy łączą się z elementami ludowymi, przywodząc w dalekich skojarzeniach twórczość Zofii Stryjeńskiej.

Kontrastem dla tych prac są płótna Aleksandy Jarno i Marii Sibilia. Martwe natury z kwiatami, mięsście nakładaną farbą i wyraźny ślad narzędzia sprawiają, że obrazy te są niezwykle romantyczne w odbiorze.

Ilona Marciniak oraz Paulina Oczkowska zaprezentowały z kolei portrety. Pierwsze z nich są bardzo żywe, ogniste, feeria barw przypomina marokańskie targi z przyprawami. W przypadku dzieł Pauliny Oczkowskiej jest odmiennie. Dominujące zimne barwy wprowadzają widza w nastrój zadumy, a długowłosa modelka o delikatnych rysach, miękkich włosach i wyzywającym spojrzeniu od razu budzi skojarzenia z pięknosciami, które można podziwiać na obrazach Prerafaelitów.

Ewa Jędrzejewska to autorka abstrakcyjnych płócien, w których odnaleźć można widoki wielkich miast. Pnące się do chmur wieżowce raz toną w barwach, żeby następnie wyciszyć się szarością.

Architektoniczne wręcz w swojej dokładności szkice Mirosławy Tomczak umieszczone naprzeciw dynamicznych, dzikich i niepokojących prac Marii Selmoser, to jak zderzenie dwóch żywiołów. Delikatna sangwina została przeciwstawiona fantastycznym elementom, postaciom mieszącym się z elementami zwierzęcymi i motywami instrumentów muzycznych.

Wśród zgromadzonych prac wyróżniają się pastele Edyty Krawczyk. Abstrakcyjne, organiczne formy, przypominają z jednej strony obraz widziany przez mikroskop, a z drugiej strony wulkany, wnętrza jaskini albo pianę morską. Organiczność form podkreślają barwy – ziemiste, chłodne, wyciszone. Widz miał tu ogromne pole do interpretacji.

Podążając dalej, oglądający napotyka baśniowe dmuchawce Agnieszki Dzikowskiej, które przywodzą na myśl poetyckie, pastelowe ilustracje,

które są bardzo subtelne, kojące, a z drugiej – swą ulotnością przywodzą na myśl nieuchronne przemijanie.

Wystawę zamykają prace Ilony Kuty. Klimatyczne pastele przedstawiają abstrakcyjne wnętrza. Krzesło, forma, którą doskonale znamy, niespodziewanie przeradza się w element przypominający formą gotycką kolumnę wspierającą sklepienie. Odrealnione wnętrza jest dynamiczne i bardzo zgeometryzowane.

Wystawa *Niedomknięty krąg* to bez wątpienia przepiękna podróż, która pokazuje niezwykłą różnorodność. Wspaniale obrazuje, jak wielowymiarowa może być sztuka, nawet jeśli nie jest tworzona przez profesjonalnych artystów. To, co wyrasta z pasji i potrzeby serca, daje radość i efekty, które mogliśmy podziwiać, za każdym razem odnajdując coś nowego.

Marta MOŚKOWIAK

Paulina Oczkowska *Zatrzymując chwile*



śremski ośrodek kultury

63-100 Śrem
ul. A. Mickiewicza 77
tel: 61 2835904, fax: 61 2810081
www.sok-srem.pl
e-mail: biuro@sok-srem.pl

13 kwietnia w kinoteatrze Słonko o godzinie 18:00 odbył się spektakl dla dzieci *Fintikluszki – folkowe okruszki* w wykonaniu Wędrownego Teatru Lalek Małe Mi. Teatr gościliśmy już w Śremie z przedstawieniem *Szydełkowa Szopka Babci Klary* i, podobnie jak wtedy, niesamowite wrażenie robiło bogactwo rekwizytów, niezwyklej kunszt aktorski i kontakt z młodszą częścią publiczności.

Podczas spektaklu poznaliśmy mieszkańców krainy Dawno Dawno Temu i związane z nimi historie. Zabawne, błyskotliwe, wzruszające, zapomniane przypowieści, obyczaje, wspomnienia, wierszyki i przyśpiewki, zebrane zostały w *Wędrownym Kramie z Opowieściami*. Podczas spektaklu wskrzeszony został Świat Wielkoludów, Domowych Skrzatów, dzieci dowiedziały się dlaczego na świecie pojawił się Skowronek. Bogactwo uniwersalnej mądrości ludowej w spektaklu ukazane jest przy pomocy różnych form teatru lalek, tradycyjnych zabawek, instrumentów muzycznych oraz pieśni zaaranżowanych przez Karolinę Cichą – laureatkę Nowej Tradycji 2013.

Kolejne spotkanie z klasycznym teatrem aktorsko-lalkowym już 18 maja o godzinie 17:00. Tym razem *Alibaba i Czterech Rozbójników*. Zaskakujące zmiany scenografii, piękne lalki, wartka, pełna humoru akcja okraszona piosenkami i muzyką Artura Dwulita zapewnią miłusińskim niezapomniane wrażenia.

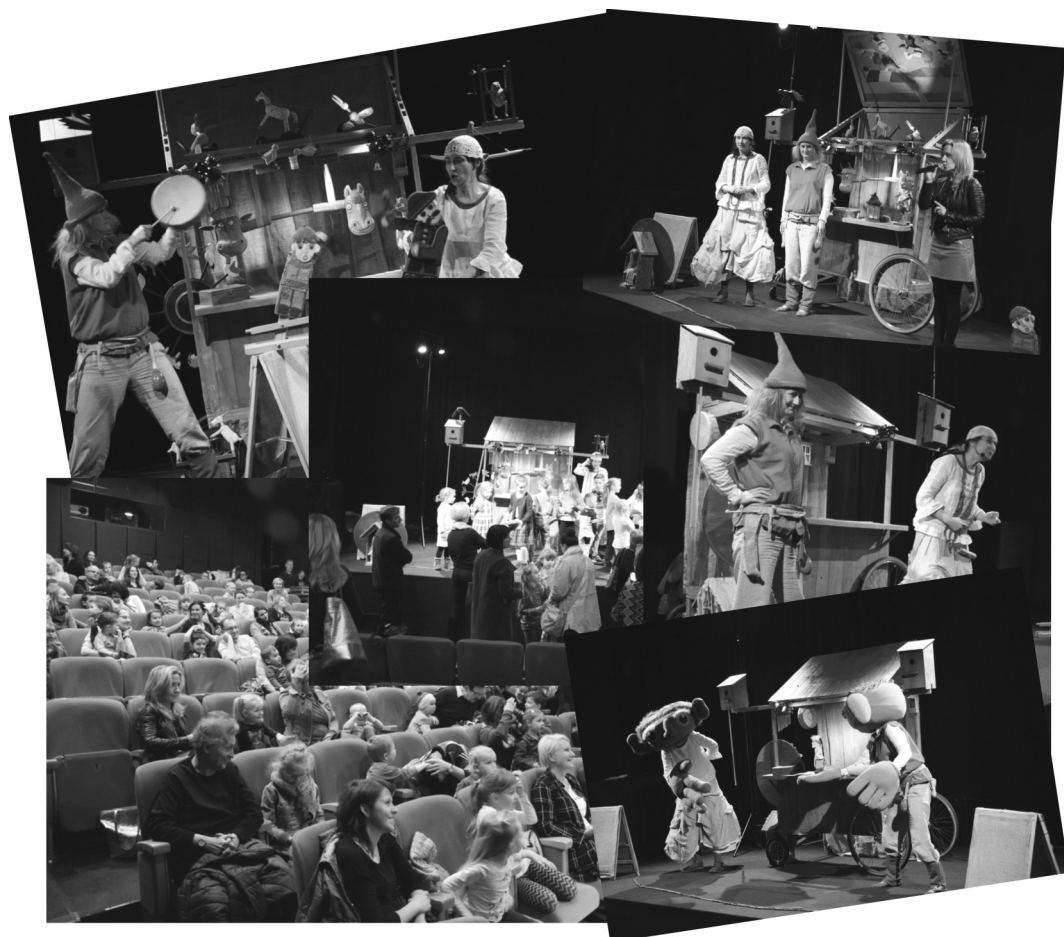
Natomiast 24 czerwca, podczas otwarcia sezonu letniego na plaży miejskiej w Śremie, zapraszamy do obejrzenia fantastycznego spektaklu plenerowego *TUWIM Julek – PARA buch, FRAZY w ruch*. Już dziś zapraszamy dzieci i dorosłych. TRZEBA TO ZOBACZYĆ!!!

Małe Mi to profesjonalny, autorski teatr lalek; uważny i otwarty na potrzeby młodych widzów i ich opiekunów. Przemawia środkami o wysokiej kulturze – nie infantylizując treści ani formy. W spektaklach prezentuje różne formy animacji, żywego planu oraz autorską, wielofunkcyjną scenografię. Wykorzystuje sztukę opowiadania, ruch sceniczny oraz muzykę graną i śpiewaną na żywo. Współpracuje z artystami sztuk wszelakich. Muzycznie z Karoliną Cichą, Jackiem BUDYNIEM Szymkiewiczem, Jackiem Mazurkiewiczem, scenograficznie z Mikołajem Maleszą, Katarzyną Szpilkową, Aleksandrą Kalmus i Markiem Janiakim. Reżysersko teatr wspierał Piotr Bikont. Wraz z Fundacją Flap People, Teatr Małe Mi realizował projekty społeczno-kulturalne: *Wędrowny Kram Podlaskich Opowieści*, *Rekonstrukcja Tradycyjnych Podlaskich Zabawek* (zabawki do spektaklu *Fintikluszki*).

Małe Mi: TUWIM Julek...



Wędrowny Teatr Lalek **Małe Mi**





2 maja

● **Wystawa "Wideoklip do filmu"**

Muzeum Śremskie, godz.: 10:00 - 14:00

wydarzeniu towarzyszy wystawa "Wielkopolska, tu warto być, to warto zobaczyć"
autor: Karol Budziński

3 maja

● **Msza Święta za Ojczyznę**

Kościół Garnizonowy ul. Sikorskiego 2 godz. 11:00
po Mszy św. rusza:

● **„Muzyczny Zaprzęg ŚOK”
Śpiewamy Polskie Pieśni Historyczne**

Stacje:

1. Kościół Garnizonowy godz. 12:00
2. Fontanna ul. Chłapowskiego godz. 12:45
3. Śremski Rynek godz. 13:30

Zapewniamy śpiewniki.

● **"W naszych sercach Polska"**

koncert fortepianowy
Śremski Rynek, godz. 17:00



NADZWYCZAJNA FIRLETKA ZWYCZAJNA w ŚREMIE

NIEDZIELNY PIKNIK RODZINNY

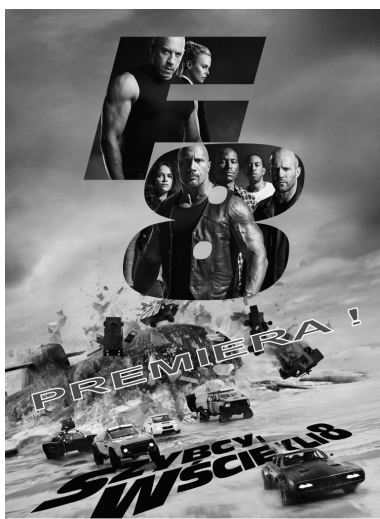
W PROGRAMIE:

- KONKURS z nagrodami na najpiękniejszy bukiet i wianek
- SESJE FOTOGRAFICZNE
- Dobra muzyka

Zapraszamy na przełomie maja i czerwca

SZCZEGÓŁY:

www.srem.pl www.sok.srem.pl



PREMIERA!

22.04. godz. 15:45, 18:15, 21:00
23.04. godz. 15:45, 18:15, 21:00
24.04. godz. 15:45, 18:15, 21:00
25.04. godz. 15:45, 18:15, 21:00
26.04. godz. 15:45, 18:15, 21:00
28.04. godz. 18:00, 20:45
29.04. godz. 18:00, 20:45
30.04. godz. 18:00, 20:45
01.05. godz. 18:00, 20:45
02.05. godz. 18:00, 20:45
05.05. godz. 16:00
07.05. godz. 16:00
08.05. godz. 16:00
09.05. godz. 17:00
10.05. godz. 16:00

Bilety 24
KINOTEATR SŁONKO

www.kinoteatrslonko.pl

paszport
OCALIĆ OD ZAPOMNIENIA
spotkanie XLV

Ray Charles

17 maja
(ŚRODA)

GODZ. 17:00 KINOTEATR SŁONKO

Śremski Ośrodek Kultury
tel.: 61 28 35 904

W PROGRAMIE M.IN.
* białe kruki czarnych krawców
* spotkanie moderuje Zbigniew Hoppe
* materiały archiwalne

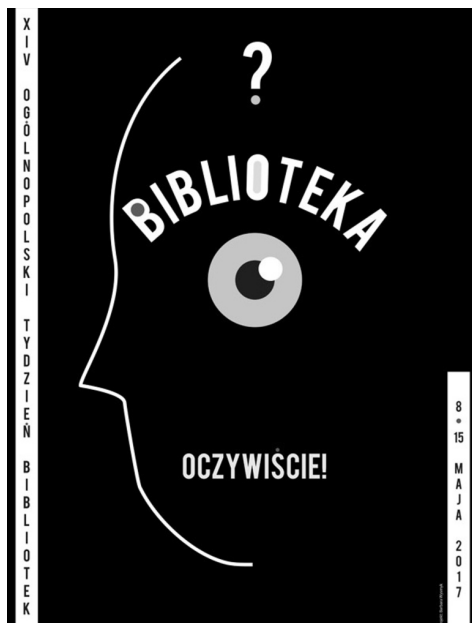
wstęp wolny **ZAPRASZAMY**

maj czerwiec 2017

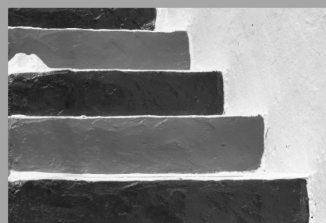


63-100 Śrem
ul. Grunwaldzka 10
tel: 61 2835467, fax: 61 2837774
www.biblioteka.srem.pl
e-mail: info@biblioteka.srem.pl

37% Polaków czyta książki →



Andrzej Walter
KOLORY GRECJI



11 maja 2017 17:00
wernisaż fotografii, spotkanie z Autorem

Biblioteka Publiczna w Śremie
UNIwersytet Ludzi Ciekawych Świata@

Czytelnictwo Polaków 2016 Raport Biblioteki Narodowej

Jak wynika z raportu, w 2016 r. jakąkolwiek książkę przeczytało 37% Polaków w wieku co najmniej piętnastu lat, a 10% czytało 7 lub więcej pozycji. W kontekście badań prowadzonych w poprzednich latach można mówić o stabilizacji czytania lub – biorąc pod uwagę większość społeczeństwa – nieczytania. 16% badanych nie przypomina sobie, żeby czytało jakąkolwiek książkę, gazetę, czasopismo, wiadomości w sieci ani nawet tekst o objętości przynajmniej trzech stron. Ci, którzy czytali książki, najchętniej sięgali po powieści Henryka Sienkiewicza i E.L. James. (źródło: <http://www.bn.org.pl>).

Z raportu dowiemy się również o pewnym paradoksie – mimo nieczytania – z roku na rok rośnie jednak rynek wydawniczy. W 2016 roku ukazało się 34.235 tytułów! Zakup książek przez czytelników stanowi znaczące źródło pozyskiwania nowości wydawniczych (na równi z książkami pożyczanymi od znajomych). Sporo książek znajduje się w domowych księgozbiorach, chociaż, wg badań, domy w ogóle bez książek stanowią 41% (wzrost o 10% w porównaniu z rokiem 2014). Znaczące źródło pozyskiwania książek do czytania, to oczywiście biblioteki. Średnio wśród 100 mieszkańców kraju 16,2 to czytelnicy bibliotek publicznych. Jeden czytelnik w ciągu roku wypożycza 18,6 książek.

Analizując raport Biblioteki Narodowej (pełna wersja dostępna jest na stronie internetowej BN), spójrzmy na niektóre dane statystyczne Biblioteki Publicznej w Śremie. Liczba czytelników aktywnie wypożyczających zbiory w bibliotece i jej filiach, po przeprowadzeniu biblioteki głównej na ul. Grunwaldzką, wzrosła prawie o 1.000 osób. Na koniec 2016 roku z wypożyczalni korzystało 6.507 czytelników. W przeliczeniu na 100 mieszkańców gminy liczba czytelników wynosi 15,63. Aktywni czytelnicy biblioteki to: dzieci (do 12 lat) – 1.835 osób, młodzież (13-19 lat) – 1.027 osób, dorośli (powyżej 20 lat) – 3.645 osób (w tym seniorzy powyżej 60 lat – 780 osób). Czytelnicy ci w 2016 roku wypożyczyli na zewnątrz 113.388 egzemplarzy, tj. średnio jeden czytelnik w roku wypożyczył 17,4 książek. Namiejsku w bibliotece

czytelnicy skorzystali z 4.335 książek. W statystykach bibliotecznych odnotowano 74.289 odwiedzin osób fizycznych oraz 91.200 odwiedzin wirtualnych (na stronie www.biblioteka.srem.pl).

W księgozbiorze biblioteki i jej filiach znajduje się 111.443 woluminów, czyli na 100 mieszkańców przypada 267,8 książek. Całość zbioru opracowana jest komputerowo i dostępna dla czytelników w katalogu on-line. W ubiegłym roku zakupiono do biblioteki 5.707 książek (13,71 egzemplarza na 100 mieszkańców) oraz 268 jednostek zbiorów audiowizualnych. Obecnie biblioteka dysponuje 1.377 materiałami audiowizualnymi, w tym 496 audiobookami.

Wraz z postępem cywilizacyjnym współczesne biblioteki przekształcają się w nowoczesne centra dostępu do wiedzy, kultury oraz ośrodki życia społecznego. W śremskiej bibliotece na stanowiskach pracowniczych znajduje się 16 komputerów, czytelnicy mogą korzystać z 24. We wszystkich placówkach zapewniony jest stały dostęp do sieci Internet oraz sieci bezprzewodowej WI-FI. W bibliotece funkcjonuje Zintegrowany System Zarządzania Biblioteką. Moduły systemu zapewniają elektroniczną obsługę czytelników oraz rejestrują szereg danych dotyczących czytelników, utrzymują centralną kartotekę czytelników, umożliwiają rejestrowanie wypożyczeń, zwrotów, prolongat, naliczeń kar za przetrzymywanie książek, rejestrują ilość odwiedzin i wiele innych zdarzeń.

Biblioteka Publiczna w Śremie jest również miejscem wielu wydarzeń kulturalnych. W minionym roku instytucja zorganizowała 695 różnorodnych działań kulturalno-edukacyjnych dla ponad 34.112 odbiorców. Najczęstsze formy to zajęcia czytelnicze dla dzieci, lekcje biblioteczne, konkursy i turnieje, wykłady, spotkania autorskie, projekcje filmów, spotkania klubowe, kursy komputerowe, wystawy i wyjazdy do teatrów.

Jerzy KONDRAS



10 maja 2017

godz. 16:00

„BLUMOWE PIOSENKI”

spektakl muzyczny dla
dzieci w wieku 2 - 6 lat

WSTĘP: 10 zł/os.

REZERWACJA MIEJSC: Biblioteka
Publiczna, ul. Grunwaldzka 10
(wypożyczalnia dla dzieci)
Tel. 61 28 35 467 w. 207



Biblioteka

Publiczna im. H. Święcickiego
w Śremit



Biblioteka

Publiczna im. H. Święcickiego
w Śremit

UWAGA TEATROMANI!

zapraszamy na spektakle wyjazdowe

6 maja, 18:30 ABONAMENT NA SZCZĘŚCIE

7 maja, 17:30 A+B=RH-

8 maja, 15:45 KRÓLOWA ŚNIEGU

13 maja, 15:30 TAJEMNICA TOMKA SAWYERA

TEATR MIEJSKI w LESZNIE

Jedno z tych miejsc może być Twoje ...

zadzwoń: 533 454 400 – OSTATNIE WOLNE MIEJSCA!





Biblioteka

PUBLICZNA im. Heliodora Święcickiego w Śremie

zaprasza dzieci przedszkolne
oraz uczniów szkół podstawowych
do udziału w powiatowym konkursie plastycznym

W ŚWIECIE KSIĄŻEK

ASTRID LINDGREN

Termin składania prac:
13 maja 2017r. (wypożyczalnia dla młodzieży)





Powiat Śremski
Twoja Przyszłość

Nasi sponsorzy:

- IMAGE
- Restauracja Café ole!
- Księgarnia przy Rynku
- P.H.U. „BERTA”
- Piekarnia Lemis

KLUB ŁOWCÓW PRZYGÓD

zaprasza



Biblioteka
Publiczna im. H. Święcickiego w Śremie



10 maja 2017, g.11:50 „KUBA – DWA ŚWIATY”

opowiada Ewa Urbanowicz (spotkanie dla młodzieży)



Czesław ŚNIEDZIEWSKI – komentator, sprawozdawca

Gazeta Śremska

siedziba redakcji – Muzeum Śremskie
63-100 Śrem, ul. A. Mickiewicza 89
tel: 61 2835938, kom: 533 875 030
e-mail: gazeta@muzeum.srem.pl, www.muzeum.srem.pl

Wydawca:

Muzeum Śremskie; 63-100 Śrem, ul. A. Mickiewicza 89
Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń
i reklam oraz zmiany programów i terminów
wprowadzone po oddaniu numeru do druku.

Redagują:

Mariusz KONDZIELA (redaktor naczelny)
Barbara JAHNS (redaktor prowadząca)
Katarzyna TOMCZAK (korekta)

Na okładce:

I – Jacek Wolny, S. Ryba, fragment
IV – Jan Mazurczak

Skład:

Samuel Bednarski

Druk:

DRUKARNIA TOMCZAK Ewa Osiewicz
tel. 61 2841208, www.drukarniasrem.pl

TU
jest,
TU
było,
TAK
się mówiło

KERBER

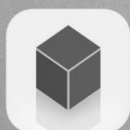
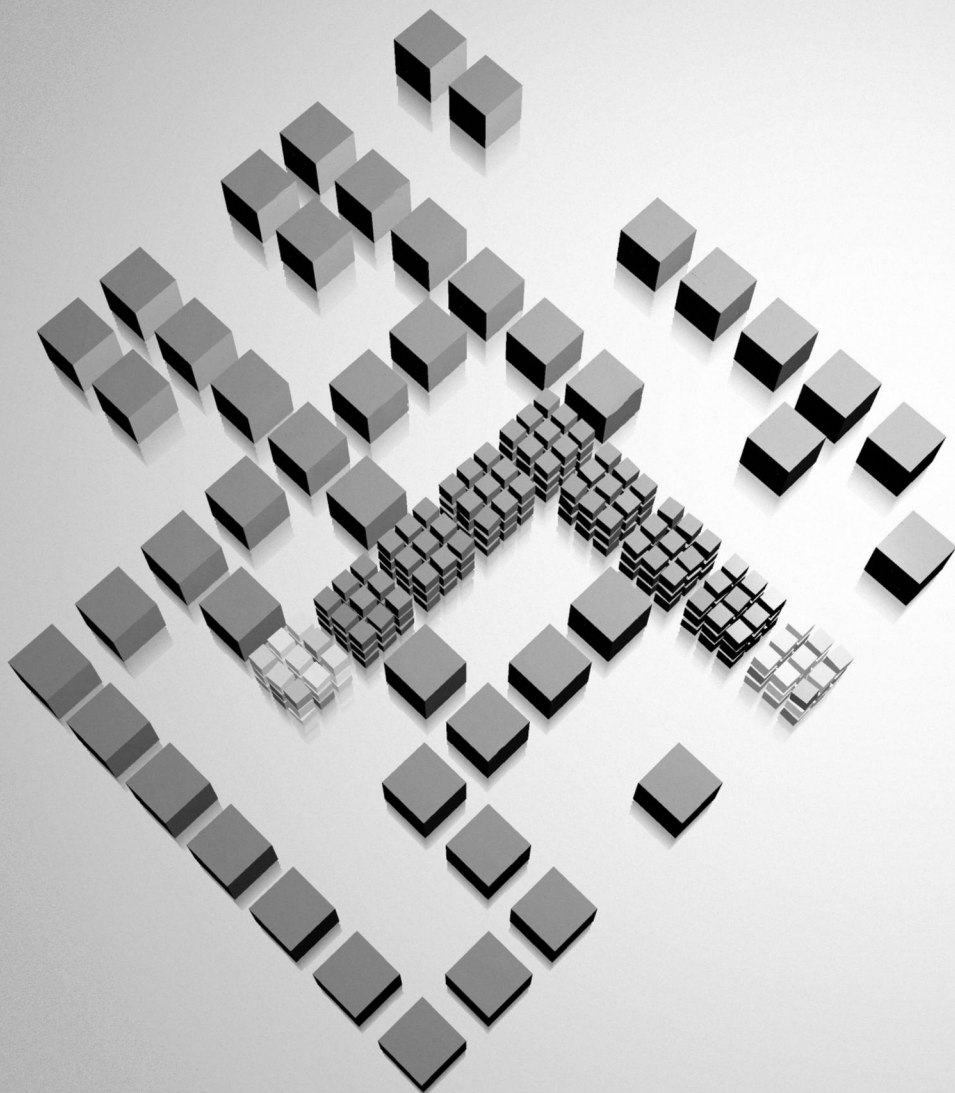
Kawiarnia na ul. Zachodniej założona przez Władysława Kerbera w 1957 roku. Pierwsza nazwa: Pod Wierzbami. W latach 1985-1986 galeria sztuki prowadzona przez Jerzego Jurgę. Potem klub prowadzony przez Krzysztofa Jurgę. Budynek spłonął w 2009.



Foto: archiwum Jakuba Jurgi



Foto: Irena Krzeszewska, 2016 r.



3 Boxes

<https://appsto.re/pl/HG2Ju.i>

